

Niezbędnik

do wystawy POWERBANK / siła kobiet

Wydawca:

Muzeum Etnograficzne w Krakowie

Kraków, 2022



MUZEUM
ETNOGRAFICZNE
W KRAKOWIE

Instytucja Kultury
Województwa
Małopolskiego



MAŁOPOLSKA



Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego



NARODOWE
CENTRUM
KULTURY

[KULTURA
DOSTĘPNA

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.

Spis treści

Wstęp	4
KAREN (ta od Andersena)	5
Halina Bittner-Szewczyk	5
Leslie Carr-Riegel-Nowoszyńska	6
Cecylia Chrzanowska	7
Zofia Cieśla-Reinfuss	8
Felicja Curyło	10
Helena Dąbczańska	11
DEMETER	12
Halina Dulemba	13
Katarzyna Gawłowa	14
Janina Glazur	15
Lutosława Haja	16
BABA JAGA	17
KALI	18
Józefa Kogut	18
Aniela Korbiel	20
KRÓLOWA MATKA	20
Scholastyka Krupowicz	21
Dorota Lampart	22

Regina Liliental	23
Helena Lustgarten-Ogrodzka	24
MARIA	25
MICHALDA (Makeda)	25
Enriqueta Elena Pérez	26
Aleksandra Polańska-Hryńczuk	27
Felicja Piotrowska	29
Eugenia Smoleniówna	29
Zofia Stryjeńska	30
Midori Suzuki	31
Cecylia Śniegocka	32
Olimpia Tunia	33
WENUS	33
Maria Wnęk	34
Julia Woźny	35
Maria Zachorowska	35
ZYTA	37

Wstęp

Zebrane w „Niezbędniku” szkice o bohaterkach wystawy ułożone są w porządku alfabetycznym, ale możesz je odkrywać w dowolnej kolejności – w rytmie zwiedzania wystawy lub gdziekolwiek i kiedykolwiek przyjdzie Ci na to ochota.

Trudno w jednym zdaniu wyrazić wdzięczność wielu osobom, dzięki którym udało się odnaleźć rozsiane w rozmaitych źródłach ślady życia kobiet – tych, których losy stały się legendą i tych, których pamięć trwa tylko w kręgu bliskich osób. Notki te łączą encyklopedyczne dane z treściami zaczerpniętymi z mitów, artykułów prasowych, literatury, dokumentacji muzealnej, plotek, anegdot, zmyśleń, przypuszczeń, prywatnej i urzędowej korespondencji.

„Niezbędnikowi” daleko do kompendium wiedzy. To raczej impuls do poszukiwań na własną rękę i pożywka dla wyobraźni.

KAREN (ta od Andersena)

Karen jest bohaterką baśni *Czerwone trzewiczki* Hansa Christiana Andersena. To mała dziewczynka „delikatna i ładna”, ale biedna. Latem musi chodzić bosą, zimą nosi wielkie drewniaki, od których jej nóżki robią się czerwone, „strasznie czerwone”. Karen marzy o tym, by jej niedola się skończyła. Nie chce pokazywać światu czerwonych, obolałych stóp. Chce nosić piękne i miękkie czerwone trzewiczki.

Pierwsze czerwone buciki, które zrobi dla niej ze skrawków skóry stara szewcowa, dziewczynka dostanie akurat w dniu pogrzebu matki. To także dzień, w którym Karen zostanie przygarnięta przez pewną zamożną kobietę. Dobra pani uzna, że trzewiczki są szkaradne i każe je spalić.

Następnym razem, kiedy Karen zakłada czerwone trzewiczki (tym razem kupione okazjnie, szewc źle wziął miarę na buciki hrabiowskiego dziecka), spotyka ją kara: przez wiele dni i nocy nie może przestać tańczyć, aż umęczona i ogarnięta poczuciem winy trafi pod dom kata...

Czy ta historia może się dobrze skończyć? Nie u Andersena.

A gdyby tak opowiedzieć o Karen od nowa?

Jaka byłaby Twoja wersja?

Halina Bittner-Szewczyk

urodzona w 1923 r.

Po raz pierwszy zostaje zatrudniona w Muzeum w 1948 roku. Pracuje przy inwentaryzacji zbiorów do momentu, kiedy dostaje ministerialne stypendium dla uzdolnionych studentów i studentek – wtedy może zająć się wyłącznie nauką. Studiuje na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie. Najpierw anglistykę i socjologię. Później socjologię i etnografię u dwóch sławnych Kazimierzów: Dobrowolskiego i Moszyńskiego. Po magisterium przez 6 lat pracuje na Uniwersytecie Wrocławskim. Przez kolejne 34 – w Muzeum Etnograficznym w Krakowie.

Dzieli ten czas między pracę nad publikacjami (autorskie teksty, recenzje, tłumaczenia), przygotowywanie wystaw oraz pracę instruktorki zespołów folklorystycznych, rzeczoznawczyni, konsultantki, jurorki. Działa w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym, od 1990 roku w roli wiceprezesa krakowskiego oddziału. Prowadzi badania: w źródłach pisanych (zna angielski, niemiecki, francuski, rosyjski) oraz w terenie – jej fiszki z notatkami terenowymi szczelnie wypełnią drewnianą szufladę, do dziś przechowywaną w MEK.

Jeszcze na studiach bierze udział w badaniach terenowych prowadzonych przez Romana Reinfussa i Kazimierza Dobrowolskiego (pogranicza śląsko-krakowskie i krakowsko-kieleckie, okolice Krakowa). Później, już z Wrocławia wyrusza na badania obejmujące Dolny Śląsk (Pogórze

Sudeckie, Karkonosze, Kotlina Jeleniogórska, Kamieniogórska, Ziemia Kłodzka, okolice Wołowa, Lubania i Wrocławia) i Śląsk Opolski. Z mężem Zdzisławem (też etnografem pracującym w Muzeum) wyjeżdża na południe Polski, by badać stroje Lachów Sądeckich, Szczyrzyckich i Górali Podhalańskich.

Przyglądając się różnym dziedzinom życia, zwraca uwagę także na to, jak żyją wiejskie dzieci. Jak się bawią i jak pracują – w domu i poza domem. Jej książka *Dziecko wiejskie* (wydana jako rocznik MEK, 1984) stanie się dopełnieniem głośnej wystawy oraz sympozjum naukowego pod tym samym tytułem.

Skupia się jednak przede wszystkim na strojach i tkaninach. Przygotowuje rozprawę o uprawie lnu, obróbce włókna oraz tkactwie. Przeszukuje podręczniki rolnicze i gospodarskie kalendarze sprzed wieków, ubolewa nad tym, że w źródłach brak rzetelnych opisów narzędzi i technik. Zarzuca klasykom etnografii, że skupiają się na obrzędach i wierzeniach. Obserwując zanikanie domowej obróbki lnianego włókna, próbuje odtworzyć sposoby działania narzędzi unieruchomionych w muzeach, rozmawia z tkaczkami. Od tych z Litwy, spotkanych na Dolnym Śląsku, Halina dowie się, że używają do czesania lnu trzech szczotek: najpierw klonowej, później nabijanej żelaznymi kolcami, a na koniec zrobionej z grubej świńskiej szczeciny. Rozmówczynie zapewniają, że po czesaniu na tej ostatniej szczotce pozostające na dłoni lniane nici są cienkie jak jedwab.

Leslie Carr-Riegel-Nowoszyńska

urodzona w latach 80. XX wieku

Leslie, urodzona w Berkley, w stanie Michigan, studiuje w Polsce historię i odbywa staż w Muzeum Krakowa – czas praktyki przypada na przygotowania do dorocznego Konkursu Szopek Krakowskich (organizowanego przez Muzeum nieprzerwanie od 1946 roku).

Leslie dostrzega w szopkach coś, co nie od razu rzuca się w oczy: efektowne, połyskujące kolorowymi złotkami budowle, naśladujące najstynniejsze krakowskie gmachy, kryją w sobie materiały z odzysku – fragmenty opakowań, gazet, resztki drewna. To bliski jej temat – pisze pracę magisterską o zarządzaniu odpadami w średniowiecznym Krakowie (kilka lat później obroni doktorat). Postanawia wystartować z własną szopką. Szopką zbudowaną ze śmieci.

Wychodzi z założenia, że właśnie wykorzystanie materiałów recyklingowych najlepiej wpisuje się w tradycję szopki. Do jej skonstruowania używa m.in. kartonu, plastikowych butelek, kubków po jogurcie, pudełka po paście do zębów, rolek po papierze toaletowym, reklamówek, patyczków z krakowskiej lodziarni Good Lood, opakowań po jajkach, ulubionych ciastkach, czekoladzie i po perfumach.

Nie umknie jej uwadze także inna właściwość szopek – ich wystrój, kształt i zamieszkujące je postaci nawiązują nie tylko do opowieści o narodzeniu Jezusa, ale bywają komentarzem do aktualnej

rzeczywistości społecznej i politycznej. Leslie na tylnej ścianie swojej szopki umieszcza logo szczytu klimatycznego ONZ, który odbył się w grudniu 2018 roku w Katowicach (powitani przez orkiestrę górniczą przedstawiciele 196 krajów przez kilkanaście dni dyskutowali o działaniach na rzecz zatrzymania globalnego ocieplenia).

W pierwszy czwartek grudnia 2018 Leslie ustawia swoją szopkę pod pomnikiem Mickiewicza na krakowskim Rynku i bierze udział w konkursie. Nie sięgnie po najwyższe laury, ale nie pozostanie niedoceniona. Jej recyklingowa szopka trafi do zbiorów Muzeum Etnograficznego w Krakowie. Leslie może też mieć satysfakcję z tego, że wzięła udział w wyjątkowej edycji konkursu: kilka dni przed jego rozstrzygnięciem krakowskie szopkarstwo zyska dodatkowy splendor: zostanie wpisane na listę niematerialnego dziedzictwa ludzkości UNESCO.

Cecylia Chrzanowska

urodzona w 1861 r.

Czy wierzy w przeznaczenie? W miłość od pierwszego wejrzenia?

Opowieść o momencie, w którym się poznali, stanie się rodzinną anegdotą przekazywaną z pokolenia na pokolenie. Jest słoneczny dzień w Tbilisi (wówczas Tyflisie). Młody polski oficer, zatrudniony w carskiej armii, przechodzi obok ogrodu jednej z posiadłości gruzińskiej arystokracji, kiedy nagle spada mu na głowę kiść winogron. Sprawczynią wypadku jest Cecylia Gillewiczówna, córki Polaka i Gruzinki. Schowana za ogrodzeniem porośniętym winoroślą, nie wie jeszcze, że właśnie on, Paweł Chrzanowski, stanie się towarzyszem jej niezwyklej podróży, odkryć i przygód, towarzyszem życia. A może jednak wypatrzyła go na ulicy z daleka i trafiła nieprzypadkowo?

Wychodzi za niego za mąż jako siedemnastolatka, w 1878 roku. Mówi się o nich, że znaleźli się jak w korcu maku. Oboje uwielbiają podróże, są ciekawi świata. Kolekcjonują wrażenia, wspomnienia i przedmioty, przywożone z całego świata: parawany z jedwabiu, meble z laki, kunsztownie zdobione wazy, ale też przedmioty codziennego użytku. Uzbierają między innymi niezwyklej kolekcję łyżek z różnych zakątków globu, ponad 600 sztuk.

Okazji do realizowania pasji dostarcza im praca Pawła, który pnie się po szczeblach wojskowej kariery – służbowo przemierzają wzdłuż i wszerz Imperium Rosyjskie. Podróżują też prywatnie: po Europie, Azji, Stanach Zjednoczonych (Paweł pisuje felietony z podróży do „Wędrowca”, w Kalifornii odnotuje „całe kolonie, osady i gminy wegetarianów, którym tutaj łatwiej jest niż gdzie indziej obchodzić się bez pokarmów mięsnych” – czy też próbowali tej diety?). Bazą do wypadów w świat i przestrzeni dla rosnącej kolekcji pamiątek staje się ich własny dom w Piasecznie.

Jest też drugi ważny adres, w odległej o kilkanaście kilometrów Warszawie: Smolna 30. To tutaj, w 1905 roku, emerytowany generał Chrzanowski zakłada siedzibę polskojęzycznej szkoły średniej, największej na terenie dawnego państwa polskiego, obecnie pod zaborami (mówi się, że realizację tego patriotycznego przedsięwzięcia umożliwiają mu koneksje rodzinne w Petersburgu). 1480 uczniów uczy się w 27 klasach. Budynek ma nowoczesną salę gimnastyczną i boisko, salę bufetową i balową, szerokie korytarze, obszerne, widne i świetnie wyposażone sale lekcyjne, na klatce schodowej zarezerwowano miejsce na windę. Szkoła istnieje do dziś, ale nie nosi imienia fundatora ani jego żony.

Paweł umiera w marcu 1914 roku. W lipcu wybucha Wielka Wojna, w czasie której Warszawa znajdzie się pod okupacją. Cecylia nie jest już generałową, jedynie wdową po generale. Nie stać jej na utrzymanie szkoły (zarząd przechodzi w ręce komitetu, pieniądze na działanie instytucji wykłada Maurycy hr. Zamoyski). Wyprzedaje kolekcje pamiątek. Łyżki, w komplecie, trafią do Muzeum Etnograficznego w Krakowie.

Zofia Cieśla-Reinfuss

urodzona w 1910 r.

Wcale nie jest oczywiste, że córka szewca trafi do dobrej szkoły, ale ojcu Zofii bardzo zależy na edukacji najmłodszej córki (dwoje dzieci z pierwszego małżeństwa też wykształci, zostają nauczycielami) i korzysta z protekcji klienta, inspektora szkolnego. Zofia dostaje się do X Państwowego Gimnazjum Żeńskiego w Krakowie, do klasy prowadzonej przez Stanisławę Niemcównę. Stanisława uczy historii i geografii, jest też znaną propagatorką ruchu krajoznawczego. Zabiera uczennice na wędrowniki, podczas których rozmawiają o geologii, ukształtowaniu terenu, historii, legendach, lokalnych zwyczajach. W wycieczkach uczestniczą wszystkie dziewczyny – „Miss” pokrywa koszty udziału tych, których nie stać na opłaty.

„Obok wiadomości czysto naukowych, zdobywałyśmy hart i pogodę ducha, umiłowanie naszej ziemi ojczystej oraz ludzi, którzy ją zamieszkują – napisze po latach Zofia. – Miałyśmy wspólne zainteresowania, było nam razem dobrze i wesoło, a zdobyte doświadczenia były nam pomocne w późniejszych czasach, jakże niekiedy ponurych i ciężkich”. Te czasy miały nadejść niebawem.

Ale wcześniej Zofia i jej szkolna koleżanka Lutka (Lutosława Haja) dostają pracę w Muzeum Etnograficznym w Krakowie – z funduszu bezrobotnych. Obie są po studiach (Zofia przerwie je na czas opieki nad chorymi rodzicami), obie szybko zostają docenione w nowej pracy. Przygotowują wystawę w nowej filii MEK, w pałacu Wołodkowiczów, w sąsiedztwie Dworca Głównego (główna siedziba MEK mieści się wtedy na Wawelu). Wernisaż 4 czerwca 1939 jest wielkim sukcesem, ale trzy miesiące później ekspozycja stanie się tylko wspomnieniem.

Od początku września Niemcy bombardują okolice Dworca. U Wołodkowiców stacjonuje wojsko. Zofia i Lutostawa próbują ratować co się da. Zofia notuje w prowadzonym w tych dniach „Dzienniku czynności”: „Chodzę po wszystkich piwnicach i zbieram porzucane tam eksponaty (...). Znoszę to wszystko i serce mi omal nie pęka ze smutku”. Przez 5 lat okupacji Zofia, Lutostawa i Roman (Reinfuss, przyszły mąż Zofii) ukrywają muzealne zabytki i dokumenty we własnych domach lub powierzają zaufanym osobom, dezorganizują planowaną wywózkę obiektów do Rzeszy.

Po wojnie zbiory mają wrócić na Wawel, ale Adolf Szyszko-Bogusz, kierujący pracami renowacyjnymi na Zamku Królewskim, nie wpuszcza transportu. Ówczesny dyrektor MEK, Tadeusz Seweryn zarządza: „Idziemy do domu, skrzynie zostają”. Zofia mówi nie. Nie wyobraża sobie, że mogłaby porzucić zabytki na pastwę losu. Dyrektor nie ustępuje, Zofia także, aż w pewnym momencie odpala: „Niech mnie pan zwolni”. I traci pracę. Wróci do Muzeum za 20 lat, po zmianie dyrektora.

W ciągu tych dwóch dekad Zofia ma aż nadto różnych zajęć. Prowadzi dom, w którym przestrzeń prywatna sąsiaduje (i mieszka się) z Pracownią Badania Sztuki Ludowej Instytutu Sztuki PAN, prowadzonej przez męża – sprząta, pali w piecach, dba o to, by dobrze się tu czuli wszyscy goście (drzwi właściwie się nie zamykają, w mieszkaniu stale urzędują tymczasowi lokatorzy). Pracuje jako księgowia (w Filmie Polskim w Zakopanem), jako nauczycielka matematyki (w Liceum Ekonomicznym w Krakowie). Wychowuje dwie córki, dzierga swetry, łąta i ceruje ubrania całej rodziny. Przepisuje i redaguje rękopisy męża, przygotowuje dla niego mapy (Roman Reinfuss zdobywa sławę i profesurę), bierze udział w jego badaniach terenowych (na słynne „obozy etnograficzne” Reinfussowie zabierają też córki).

Prowadzi własne badania (m.in. na temat kowalstwa, tkactwa, kolędników). Ze swoimi rozmówcami w terenie długo utrzymuje kontakt. Niektóre z tych znajomości przeradzają się w przyjaźnie, jak z pisankarką Aleksandrą Polańską-Hryńczuk czy garncarzem Erazmem Szyszko (podaruje jej swój dyplom mistrzowski).

Zofia ma na koncie naukowe publikacje (pisane po nocach, w wolnym czasie) i materiał na doktorat, którego nigdy nie obroni. Są przecież pilniejsze sprawy, dzieci, wnuki (w Krakowie i w Paryżu), bliscy i dalsi krewni, przyjaciele, ludzie w potrzebie, problemy do rozwiązania, listy do napisania, Instytut, Muzeum i mąż – jego ogromne biurko zavalone książkami, jego artykuły, książki, mapy, ich wspólne wędrówki po górach, dyskusje, domowe żarty, 50 lat wspólnego życia.

„Moja mama wszystko robiła. Na wszystko miała czas”, wspomina córka Zofii, Krystyna Reinfuss-Janusz, także etnografka.

Felicja Curyło

urodzona w 1903 r.

Malowanie domów to w Zalipiu i okolicy dawna tradycja, ale w momencie, kiedy Felicja przychodzi na świat, zwyczaj nabiera kolorów. Wcześniej gospodynie malowały wapnem na ścianach poczerniałych od sadzy. Odkąd w domach coraz częstsze stają się kominy wyprowadzające dym na zewnątrz, malarki inwestują w kolorowe farby. I dają się ponieść fantazji. Felicja podobno maluje pierwsze kwiaty jako dziesięciolatka. Wzór z sadzy i wapna powstaje na suficie. Pod nieobecność rodziców.

Felicja wyróżnia się talentem, ale o jej życiowej ścieżce chyba w większym stopniu zdecyduje temperament. Jest ambitna i zaradna. Kiedy w 1948 roku odbywa się pierwszy konkurs na malowaną chatę (etnografowie postanawiają w ten sposób przyczynić się do żywotności zwyczaju), Felicja wygrywa. Nie schodzi z podium także w kolejnych latach, z czasem zaczyna też decydować, komu wolno przystąpić do konkursu. Zyskuje sławę. Projektuje wzory na tkaniny Instytutu Wzornictwa Przemysłowego, maluje pawilon wystawy rolniczej w Lublinie i fajans we Włocławku (wykona tam też kilka kafli, które przeznaczy na swój grób). Umie korzystać z koniunktury na ludowość (władze chętnie pozują na tle kolorowej i wesołej wsi) i jest bardzo wpływowa: mówi się, że to dzięki jej osobistej interwencji Zalipie zyskało asfaltową drogę i zostało zelektryfikowane 10 lat wcześniej niż sąsiednie miejscowości.

W 1951 roku Felicja i trzy inne malarki (Maria Wojtyto, Felicja Kosiniak i Maria Kiwior) malują bawialnię dla dzieci na luksusowym transatlantyku Batory. Relację Felicji z tego wydarzenia poznajemy dzięki jej listowi do Romana Reinfussa, z którym była zaprzyjaźniona. Felicja opisuje profesorowi technikę pokrywania ścian okrętu malunkami, ale też chwali się sukcesami towarzyskimi: „nos wszyscy lubieli i mile witali”. Opowiada o tym, jak malarki po skończonej pracy urządzają „wichowe” – bukiet kwiatów dla kapitana i flacha rumu, do której malarki zapraszają wszystkich członków odbierającej projekt komisji. Do listu Felicja dołącza kartkę, na której różową kredką rysuje fragment ornamentu, a na odwrocie – tą samą kredką opisuje projekt („Taki był plan”). Przesyła też wycinek z „Głosu Wybrzeża” z zastrzeżeniem: „jak przeczytacie to mi te gazete odeślcie bo to mam na pamiątkę”.

„A co się nam podobało w Gdyni to szkoda mrugać my na wsi to szkoda że żyje człowiek i sie tak w tem błocie morduje te 3 tygodnie to sie nom widziało ze my sie dopiero porodzyły na świat” – pisze Felicja. I żegna się z profesorem słowami: „Pa, pa, pa, z poważaniem”.

Helena Dąbczańska

urodzona w 1863 r.

Najpierw był zamożny rodzinny dom we Lwowie, pełen książek. Ale też częste pobyty w Wiedniu u Eleonory z Milieskich Elkanowej (siostry babki) i doroczne wyjazdy do Włoch i Francji, a tam zabytki, pałace arystokracji, biblioteki, muzea, antykwariaty. Jako dwunastolatka rozpoczyna budowanie własnego księgozbioru, kupując za kieszonkowe ilustrowane dzieła Szekspira, wydanie niemieckie. Z czasem do książek dołączają ryciny, rysunki, tkaniny, obrazy, przedmioty codziennego użytku z epoki biedermeieru. Kiedy Helena ma już za sobą krótkie i nieudane małżeństwo, skupia się na budowaniu kolekcji, a swój dom zamienia w prywatne muzeum i towarzyski salon Lwowa. Podróżuje po Europie w poszukiwaniu pięknych i cennych przedmiotów, wynajmuje pośredników i sama pośredniczy. Kupuje, sprzedaje, zarabia. Ale też rozdaje. Wiele bezcennych rzeczy przekazuje muzeom i bibliotekom. W uznaniu jej zasług dla kultury w 1921 roku Rada Miasta zmienia nazwę ulicy Cytadelnej, przy której mieszka kolekcjonerka, na Heleny Dąbczańskiej. Jej szczodrość dotyczy nie tylko rodzinnego miasta. Przekazuje cenne dary instytucjom w Krakowie, Poznaniu, Przemyślu, Tarnopolu.

Bardzo lubi krakowskie Muzeum Etnograficzne i jego założyciela Seweryna Udzięła. Już w 1911, pierwszym roku działalności MEK, przesyła cztery skrzynie przedmiotów. Jej przekazy na rzecz Muzeum odnotowywane są przez ponad 20 lat. Podaruje Muzeum Etnograficznemu w Krakowie ponad 430 przedmiotów z Huculszczyzny (zbiera je dla niej w terenie wynajęty do tego pracownik). Wśród nich figurę św. Onufrego, pustelnika. „Z największą chęcią go oddam, nie wiem tylko jak go zapakować, bo ma blisko dwa metry wysokości i jest tak ciężki, że dwóch ludzi ma co nieść” – pisze w liście do Udzięła.

W 1920 ucieka przed wojną bolszewicką. Pakuje zbiory w kilka wagonów i przyjeżdża do Krakowa. Miasto oddaje jej do dyspozycji pięciopokojowe mieszkanie na Wawelu. Przy okazji kolekcjonerka zda sobie sprawę, w jakim stanie są przekazane przez nią dary dla Muzeum Narodowego – zalegające w wilgotnych piwnicach, częściowo rozkradzione, wyprzedane. Nie chowa urazy, ratuje, co się da i nie przestaje obdarowywać innych instytucji.

Do 1927 roku mieszka w Krakowie, potem znów Lwów, znów Kraków, na zmianę. We Lwowie zastanie ją wybuch II wojny światowej. Przetrwa trudne lata, zarabiając na handlu sztuką, pośrednicząc w transakcjach między zbieraczami. Po wojnie znajduje schronienie w Domu Ubogich im. Helclów w Krakowie – w zamian za podarowaną kolekcję ma otrzymywać dożywotnią pensję, ale różnie z tym bywa. Jej sytuacja z roku na rok się pogarsza, choć pamięć o jej hojności trwa – w 1956 roku zostaje pochowana na koszt miasta na Cmentarzu Rakowickim, w alei zasłużonych (Kw. Bc, rząd 1, grób 7).

Zostaną po niej tysiące przedmiotów, ale też sporo dokumentów, notatek, listów – spisanych świadectw jej sukcesów i nieszczęść. „Zdołałam zgromadzić z górą 20 tysięcy książek, przeszło 16 tysięcy sztychów, tkanin 1200, obrazów 800, porcelany około 400 sztuk, wachlarzy 70, kasetek 80 kilka i parę tysięcy innych najrozmaitszych przedmiotów artystycznych” – notuje z dumą w pamiętniku. A w 1951 roku, w jednym z ostatnich listów do Franciszka Pajączkowskiego, dyrektora Ossolineum, pisze: „Ginę i nie mam nawet na chleb i mleko. (...) Ratuj mnie, Panie”.

DEMETER

Spróbujmy ją sobie wyobrazić: przedwieczna pani ziarna, władczyni polonów, zbrojna w sierp, z długimi jasnymi włosami okrytymi welonem.

A może zobaczymy je obie, bo ludzie mówiąc Demeter, od razu myślą Kore (czyli „Dziewczyna”, ale też „Żrenica” – to, co najcenniejsze w oku), Persefona. Czasem tak właśnie objawiają się śmiertelnikom, obie naraz, w dwóch niemal identycznych postaciach, okryte jednym płaszczem. Matka, bogini płodności gleby, i Córka, bogini mocy ukrytej w ziarnie. Są nierozłączne. Do czasu.

Otóż Kore podoba się Hadesowi – władca krainy zmarłych chce, by pełna życia Dziewczyna została jego żoną. Kiedy tylko uzyskuje przyzwolenie Zeusa (wszechwładnego ojca Kore, młodszego i bardzo pożądanego brata Demeter), Hades wsiada do złotego rydwanu i uprowadza Korę-Persefonę. Wprost z rozgrzanej słońcem, rozkwiecionej łąki do milczących i ciemnych podziemi.

Głos Córki wzywającej pomocy dociera do Matki echem, odbity od skał i powierzchni mórz. Przeszywa jej serce. Bogini mknie nad ziemią i wodą jak jastrząb, wypatrując Kore. Rozpytuje o nią, a kiedy wreszcie, po dziewięciu dniach niestrudzonej wędrówki, dowiaduje się, co się stało, ból staje się nie do zniesienia. Demeter okryta żałobnym płaszczem, nierozpoznawana wędruje po ziemi, aż trafia do Eleusis w Attyce. Nie jest w stanie już dłużej ukrywać swej boskości. I nie chce więcej skrywać swojego smutku. Ani gniewu.

Kiedy staje przed obliczem królewskiej pary, głową sięga powały, a wokół niej roznosi się cudowna woń. Demeter żąda wystawienia dla siebie świątyni. Zasiada w niej owinięta w turkusowy peplos. Nie pozwala nasionom kiełkować i czeka, aż ludzie wymrą z głodu, a bogowie zrozumieją, że nie otrzymają już więcej dymów z ofiarnych ognisk. Nastaje straszny rok bez plonów. Żywna ziemia zamienia się w jałową pustynię.

Do Zeusa dociera, że Demeter nie przestanie się gniewać, dopóki nie zobaczy Kore. Nakazuje Hadesowi wypuścić żonę z królestwa zmarłych. Demeter i Kore biegną do siebie, rzucają się sobie na szyję, dotykają ramion, przywierają do siebie całym ciałem. Ale Demeter, trzymając w objęciach swoje dziecko, drży z lęku, bo wyczuwa podstęp. Kore przyznaje, że przed wyjściem z podziemi zjadła podane jej przez Hadesa trzy ziarenka granatu. Ten niewielki posiłek w krainie zmarłych

wystarczy, by związać ją z tym miejscem na zawsze. Odtąd będzie musiała spędzać jedną trzecią każdego roku w mglistej ciemności Hadesu.

Przez cały dzień Demeter i Kore pocieszają się, ściskając się bardzo mocno. Wreszcie uwalniają się od bólu. Demeter pozwala przyrodzie wrócić do życia. Suche bruzdy pokrywają się liśćmi i kwiatami. Jakby nic się nie stało.

JAMBE (BAUBO) [ale to jest jedna historia z Demeter]

Jest jeszcze jedna postać, o której zapomina się w tej historii. Kiedy Demeter trafia do Eleusis i ujawnia swoją boskość, królowa Metanejra chce odstąpić jej swój tron, ale Demeter odmawia. Wtedy do inicjatywę przejmuje domyślna służąca, Jambe (później nazywana Baubo). Podsuwa bogini zydziel wyściełany owczym runem i zaczyna żartować. Stroi miny i obnaża się, aż udaje jej się rozśmieszyć Demeter. Bogini śmieje się w głos i, po wielu dniach bez jedzenia i picia, zgadza się wziąć coś do ust. To właśnie figlarnej Jambe udaje się na chwilę obezwładnić grozę śmierci.

Halina Dulemba

urodzona w 1946 r.

Halina zaczyna haftować, gdy ma 53 lata. Podczas wizyty u koleżanki zachwyca ją nastrój, jaki tworzą w kuchni zasłony ozdobione haftem kaszubskim – łapie bakcyła. Bardzo szybko wyszywanie staje się prawdziwą pasją. Dzień, w którym zapisuje się do Klubu Hafciarskiego, uznaje za jeden z najszcześniejszych. Codziennie haftuje w domu, a raz w tygodniu, co wtorek – w muzeum, z koleżankami ze Stowarzyszenia Miłośników Tradycyjnego Rękodzieła Ludowego i Artystycznego Lud-Art przy Muzeum Etnograficznym w Krakowie (zostaje jego wiceprezeską). Mijają lata, a one spotykają się regularnie. Dzieli się doświadczeniami, haftują, plotkują. Aż nadchodzi pandemia.

Wiosną 2020 roku w Polsce zamknięte zostają szkoły, przedszkola, żłobki, teatry, biblioteki, muzea. Rząd ogranicza swobodę wychodzenia z domu. Media codziennie podają rosnące liczby zakażonych, hospitalizowanych, zmarłych. Ulice pustoszeją. W tych warunkach zamiera działalność Stowarzyszenia, ale nie na długo. Hafciarki szybko się mobilizują. Haftują (m.in. maseczki) i udostępniają zdjęcia swoich prac oznaczone #zostańwdomu.

Wreszcie Halina proponuje koleżankom „wspólną pracę, taką w jednym kawałku”, taką, która pozwoli im przełamać przymusowe odosobnienie. Uznaje, że najlepszy do haftowania pandemicznego ręcznika będzie len: „jest taką specjalną tkaniną, która ma za zadanie chronić przed złem, osłaniać, ma przynieść szczęście. Zapobiec czemuś i powstrzymać”. Wybiera „kawałek szmatki” (40 × 190 cm), który trafił do członkiń Stowarzyszenia Lud-Art jako część spuścizny po założycielce, Urszuli Janickiej-Krzywdzie. Ta etnografka i dziennikarka, znawczyni kultury Karpat,

przez lata inspirowała członkinie Stowarzyszenia, zarażała entuzjazmem, dzieliła się wiedzą, wprowadzała w tajniki technik i znaczeń. Teraz staje się patronką ich przedsięwzięcia.

W maju kawałek lnu zaczyna wędrować między hafciarkami, a wraz z nim zeszyt, w którym uczestniczki akcji zapisują rodzaj wybranego haftu – każda z hafciarek sama decyduje, jakie wzory pojawią się na jej fragmencie ręcznika. „Ja dużo użyłam czarnego i czerwonego i w napisach, i w haftach krzyżkowych, bo to dobro i zło skondensowane”, wyjaśnia Halina.

Nad lnem pochylają się kobiety w różnym wieku (od 36 do 83 lat, także troje dzieci) i w różnej kondycji. Halina w trakcie pracy nad ręcznikiem przechodzi dwie operacje dłoni, ale nie odpuszcza. Przekonuje koleżanki, którym brak wiary w siebie: „Pokaż, że umiesz haftować, nie tylko trzymać różaniec i gotować, ale potrafisz też, tymi dłońmi, które całe życie pracowały, wykonać jeszcze takie piękne hafty”. Tak powstaje „Ręcznik Obrzędowy – Pandemia Anno Domini 2020”.

„Ręcznik: początek i koniec czegoś”.

W akcji haftowania ręcznika pandemicznego uczestniczyły: Małgorzata Biały, Barbara Binias, Halina Dulemba, Barbara Gorzkowska, Jadwiga Gruca, Krystyna Jarecka, Maria Klichowska, Barbara Michalska z synem Jakubem i córką Zuzanną, Krystyna Poterek, Urszula Roman, Danuta Rusek, Teresa Ścisłowicz z córką Anią, Cecylia Wiązewska, Katarzyna Wrońska.

Katarzyna Gawłowa

urodzona w 1896 r.

Przez 36 lat Katarzyna nosi nazwisko Chrzan i mieszka z rodzicami w Zielonkach. Kiedy bierze ślub, staje się jednocześnie żoną i przybraną matką dla czwórki dzieci swojego męża, znacznie starszego od siebie wdowca. Spędzi z nim zaledwie siedem lat, ale świat zapamięta właśnie jej drugie nazwisko – Gawłowa.

Mijają lata. Katarzyna prowadzi gospodarstwo męzowskie, potem własne – po śmierci męża wraca do rodzinnego domu. Czasem wybiera się na krakowski Kleparz, gdzie sprzedaje nabiał i jarzyny. Pewnego dnia 1973 roku do jej drzwi puka dwóch mężczyzn z Krakowa – chcą kupić skrzynię wianną. Na miejscu znajdują coś, co zupełnie odwróci ich uwagę od planowanej transakcji. Odkrywają, że wszystkie ściany w domu Katarzyny są w całości pokryte barwnymi malowidłami. Gospodyni wyjaśnia, że zamalowuje je od dzieciństwa, ciągle od nowa. Goście to Mieczysław Górski (późniejszy profesor ASP) i Jacek Łodziński (kolekcjoner sztuki). Podsuwają jej pomysł, by malowała nie tylko na ścianach. Systematycznie dostarczają jej materiały: dyktę i tekturę.

Katarzyna maluje: świętych, anioły i zwykłych śmiertelników w niezwykłych sytuacjach – weselne orszaki z konnymi zaprzęgami, procesje, kolędników. Kwiaty i ptaki. Maluje też własne sny

i przeżycia. Siebie samą portretuje w odświętnym stroju krakowskim. Obrazy wkłada w wykonane własnoręcznie, bogato malowane ramy.

Wernisaż jej pierwszej wystawy, zorganizowany w Muzeum Etnograficznym w Krakowie w 1977 roku, będzie nie lada wydarzeniem. Na ścianach 150 obrazów (z kolekcji Muzeum i ze zbiorów prywatnych). Klimat ni to z jarmarku, ni to z wesela: tłum gości, gwar, suto zastawione stoły, kosze pełne słodyczy, karafki z kolorowymi trunkami, kapela z Zielonek przygrywa do tańca. Katarzyna malowniczo prezentuje się w tym otoczeniu: założyła krakowski gorset. Ma 81 lat.

A przecież to nie pierwszy kontakt Katarzyny z krakowskim Muzeum i etnografami. W 1947 do Zielonek przyjeżdża Roman Reinfuss, kustosz MEK, wyposażony w kamerę 16 mm. Realizuje tu swój pierwszy, prekursorski cykl filmowy Zwyczaje wielkanocne. W kilku ujęciach pojawia się Katarzyna – wygląda na to, że dobrze się czuje na planie. Odświętnie ubrana stanie się też bohaterką jednej z wykonanych wtedy w Zielonkach fotografii – śmiało i ze skupieniem patrzy w obiektyw. Reinfuss jest nie tylko amatorem filmu etnograficznego. Jest także zapalonym badaczem terenowym, znawcą i teoretykiem sztuki nazywanej ludową. A jednak na odkrycie swojego talentu Katarzyna musi poczekać jeszcze 30 lat. Wyzna wtedy: „Ja cały żywot malowałam po ścianach i piecu. Nie myślałam, że można malować obrazy”.

Janina Glazur

urodzona w 1931 r.

Janina mieszka z rodzicami i bratem w Bochni. Ojciec jest zasłużonym wojskowym, uczestnikiem I wojny światowej i wojny 1918–1921. We wrześniu 1939 roku pełni służbę zastępcy komendanta Komendy Rejonu Uzuppełnień w Bochni. W 1940 ginie w Katyniu.

Jeszcze przed wybuchem Wielkiej Wojny Janina kończy dwie klasy. W 1950 roku zdaje maturę w Liceum Ogólnokształcącym im. Kazimierza Wielkiego, w klasie matematyczno-fizycznej, ale na studia się nie wybiera. W domu się nie przelewa. Wyższe wykształcenie zdobywa brat. Janina musi zarabiać. Dwa lata pracuje w Hurtowni Artykułów Spożywczych, zanim da się przekonać kierownikowi, że powinna studiować. Składa podanie i zostaje przyjęta z listy rektorskiej. W 1959 bierze dyplom. Specjalizuje się w anestezjologii u prof. Józefa Bogusza w ówczesnym Szpitalu Klinicznym Akademii Medycznej w Krakowie. Zostaje lekarką.

Choć przeprowadza się do Krakowa, chętnie wraca do Bochni. Pielęgnuje wspomnienia. Jest uczestniczką uroczystych jubileuszy swojego liceum i spontanicznych spotkań absolwentów. Dokumentuje te wydarzenia – jej fotografie trafią, między innymi, do książki przyjaciół, Barbary i Jerzego Kunzów, wydanej z okazji 60-lecia matury. Do „Wiadomości Bocheńskich” Janina pisze wspomnienie o koledze z harcerstwa, swojej szkolnej sympatii. W innym numerze „Wiadomości”

zostanie zamieszczony jej list w sprawie Bocheńskiej Dąbrowy Pamięci Ofiar Katynia. Rok później w lokalnej prasie można przeczytać, że zasadzono pierwsze dęby, wśród upamiętnionych znajdzie się Karol Glazur.

Janina zadba o pamięć o ojcu także w inny sposób. Dzięki niej do Muzeum Katyńskiego trafiają dokumenty związane z Karolem Glazurem. Znajdą się tam akty chrztu i ślubu (spisane po łacinie), zaświadczenia o kwaterunku, pożyczce, przyznaniu odznaczeń wojskowych, imieninowe życzenia od kolegów oficerów i kartki z Centrali Poszukiwań Osób w Łodzi, z siedziby Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie, z których Teodora Glazur dowie się, że ślad po jej mężu zaginął (w 1946 dostanie postanowienie sądu o uznaniu go za zmarłego, wydane za pokwitowaniem).

Są w tym zbiorze także wystukane na maszynie żartobliwe listy do „Kochanej Córuni”. I jeden pisany odręcznie w Kozielsku, 21 listopada 1939: „Najdrożsi i najukochańsi Moi! Jestem w ZSRR, zdrow i czuję się dobrze. Tęsknię tylko wciąż szalenie za Wami, myślę wciąż i niepokoję się o Was. Myślę jednak, że dasz sobie jakoś radę. Najdroższa Moja. – Czy zdrowi jesteście? – Co w domu zastaliście? – Jak się czuje Babcia? Napisz do Mamy do Kołaczyc, co tam słychać? W ogóle napisz mi wszystko i tylko Ty, raz jeden w miesiącu kalendarzowym. Na razie żadnych paczek nie wysyłać. Synuś Mój niech pilnuje nauki, żeby roku nie stracił, a Janusia wiem, że pilnie uczyć się będzie. – Ściskam Was i całuję niezliczone razy i myślą, tęsknotami, duszą całą jestem zawsze z Wami”.

Lutosława Haja

urodzona w 1909 r.

Jak wyobraża sobie przyszłość, gdy w 1928 roku kończy X Państwowe Gimnazjum Żeńskie w Krakowie? Wybiera studia na Wydziale Filozoficznym UJ, geografię i etnografię. Studiuje i pracuje. Najpierw jako wychowawczyni w szkolnych świetlicach, później jako kierowniczka Domu Społecznego na osiedlu robotniczym w Dębnikach. W maju 1937 roku zostaje zatrudniona w Muzeum Etnograficznym w Krakowie, jeszcze przez Seweryna Udzielę, założyciela MEK.

Muzeum mieści się wtedy na Wawelu, w skromnych, wymagających remontu pomieszczeniach. Lutosława pracuje nad organizacją filii MEK w pałacu Wołodkowiczów (przy Dworcu Głównym). Razem z koleżanką ze studiów Zofią Cieślanką i ówczesnym dyrektorem MEK Tadeuszem Sewerynem tworzą Muzeum Ziemi Krakowskiej. Wystawa zostaje otwarta 4 czerwca 1939 roku. „Chata kryta strzechą... w ruchliwym centrum Krakowa” – krzyczą nagłówki lokalnej prasy. Na zaproszeniu na wernisaż widnieją nazwiska słynnych profesorów z Krakowa i Warszawy. W dniu otwarcia wystawę zobaczy ponad dwa tysiące osób. Żadna z nich nie przypuszcza, że za trzy miesiące znaczna część podziwianych tu przedmiotów zostanie zniszczona.

We wrześniu 1939 zmienia się tryb pracy w Muzeum. Nikt nie myśli już o wystawach. Teraz trzeba jak najszybciej i najlepiej schować zbiory – na Kraków spadają bomby. Lutostawa, Zofia i Roman (Reinfuss, przyszły mąż Zofii) robią wszystko, żeby ratować najcenniejsze eksponaty i dokumentację naukową. Kustosze pospiesznie inwentaryzują zbiory, w tajemnicy pisząc podwójne karty. Lutostawa wynosi i ukrywa u siebie osiem tysięcy takich dubletów. Uczestniczy też w ruchu konspiracyjnym Armii Krajowej (pod pseudonimem Sława). Opiekuje się bezdomnymi, chorymi i ukrywającymi się w dawnej „Ogrzewalni” brata Alberta Chmielowskiego przy ulicy Krakowskiej. Zostaje tam na dłużej: oficjalnie do 1949 roku, jako księgowa i pielęgniarka, przez kolejnych 10 lat – jako wolontariuszka.

Do pracy w Muzeum wraca zaraz po zakończeniu działań wojennych, w styczniu 1945. Pracuje przy inwentaryzacji kolekcji, ustaleniu start wojennych, zabezpieczeniu książek i archiwaliów. Działa w zarządzie krakowskiego oddziału Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego (jako skarbniczka). Włącza się w zainicjowane przez PTL badania terenowe w Tyńcu i jako jedyna je kontynuuje. Efektem tej pracy będą dwa teksty opublikowane w „Roczniku MEK”: *Zimowe obrzędy i zwyczaje w Tyńcu pod Krakowem* (1967) oraz *Lecznictwo ludowe w Tyńcu* (1966) – w przygotowaniu tego artykułu wykorzystuje podobno również swoje doświadczenia pielęgniarskie z czasów okupacji.

Wiemy, że Lutostawa spoczywa w rodzinnym grobowcu na Cmentarzu Podgórskim w Krakowie. Podejrzewamy, że czasem pojawia się w Muzeum. Jej obecność w pomieszczeniach, gdzie przechowywane są archiwalia, wyczuwana jest wraz z delikatną wonią papierosowego dymu.

Uważa się, że bóle głowy mają różne przyczyny. Jedną z nich może być po prostu głód, a wówczas cierpienie przechodzi po zjedzeniu czegokolwiek. Głowa może boleć też dlatego, że się śpi źle i niespokojnie. Dobrze jest wtedy obłożyć głowę szmatami maczanymi w zimnej wodzie i wypić trochę wódki. Również zadanie uroku przez kogoś, kto ma „złe oczy”, może stać się przyczyną bólu głowy. W Tyńcu była taka kobieta, która rzucała uroki na ludzi i zwierzęta; niedobrze byłoby ją spotkać. Po spotkaniu jej należało natychmiast urok odczynić. Trzeba w tym celu zagiąć rąbek spódnicy, popluć go trzy razy i tym wytrzeć głowę.[na lewą stronę]

BABA JAGA

Mieszka w obskurnej, zapuszczonej ruderze, w chacie pachnącej ziołami, w domku z piernika. Gdzieś na skraju wsi, pod lasem, może nawet w lesie. Lepiej nie wiedzieć, gdzie. Chociaż dobrze wiedzieć, jak tam trafić.

Widuje się z diabłem, z umarłymi. Kto inny by się z nią zadawał? Stara, brzydka, nie lubi dzieci. Nikogo nie lubi. Nosi w sobie całą złość świata, z tej złości odbiera krowom mleko, a ludziom chęć życia.

W razie potrzeby pomaga. Nawet kiedy nie ma już nadziei. Zwłaszcza kobietom i dziewczynom. Zna sposoby na miłość, na ból, na urok, na brzuch, na męża z ciężką ręką, na podłych sąsiadów.

Źle jej z oczu patrzy. Umie dobrze słuchać.

Głupia jędza. Wiedźma. Ta, która wie.

KALI

Mówią, że rodzi się z płomiennego oddechu Władców Wszechświata: Brahmy, Śiwy i Wisznu, rozgniewanych porażką bogów w stuletniej walce z demonami. Brahma ofiarował jej zęby, Śiwa dał jej płomienną twarz, Wisznu wzmocnił jej ręce. Od pierwszej chwili Kali wzbudza podziw i strach.

Inni mówią, że wydaje ją na świat Osiem Matek walczących z siejącym spustoszenie Raktabidźi – demon jest nie do pokonania, bo duplikuje się wszędzie tam, gdzie tylko spada na ziemię kropla jego krwi. Matki nie dają mu rady, więc emitują z siebie Kali, esencję swoich boskich mocy, wcielenie Śakti, emanację ciemnej strony bogini.

Jej oczy pałają żądzą ofiar, język wysuwa się z ust, gotowy zlizywać krew. Jej szyję oplatają węże i ludzkie czaszki. Każda z jej dziesięciu dłoni chwyta za broń. Rusza do ataku z tak przerażającym okrzykiem, że drżą wszystkie światy. Tysiące demonów atakują ją równocześnie, lecz ona pozostaje niezwyciężona. Pokonuje Raktabidźię. Musi ulec jej także Mahisza, od którego oddechu walą się góry i drży ziemia. Zło nie ma z nią szans.

Kali wygrywa i przywraca na świecie ład. Bogowie głoszą jej chwałę. Ludzie wznoszą jej dziękczynne świątynie i składają ofiary.

A ona tańczy. Na trupach, na polach bitewnych, cmentarzyskach, miejscach kremacji. Dobrze wie, że nic nie trwa wiecznie. Przecież jest boginią czasu, śmierci i zniszczenia. Przecież jest uosobieniem życia.

Mówią o niej: wcielenie chaosu i wojny. Ale mówią też: Pani Kosmosu, Czarna Matka.

Józefa Kogut

urodzona w 1902 r.

Wiosną 1913 roku przy Muzeum Przemysłowym w Krakowie startują Warsztaty Krakowskie – stowarzyszenie promujące nowe trendy w dziedzinie rzemiosła artystycznego. Antoni Buszek otwiera eksperymentalną pracownię batiku. Pomysł opiera się na założeniu, że talent nie wymaga akademickiej obróbki – wystarczy sprzyjające tworzeniu warunki. Na początek do pracowni trafia

6 nastolatek (w prasie międzywojennej będą określane jako „artystki z ludu”), wśród nich trzy siostry Kogutówny: Maria, Józefa i Zofia. Józefa na wtedy 11 lat.

Dziewczęta zaczynają od rysunków na papierze. Przez kilka dni kreślą zadane figury pisakami wypełnionymi woskiem. „Przypomniało nam się malowanie w szkole – wspomni po latach Józefa. – Zaczęłyśmy (...) malować: ptaki, rośliny, zwierzęta i różne esy-floresy. Pod kierunkiem i namową profesora zaczęły powstawać rysunki niespodziewane i zadziwiające, bez żadnych wzorów kopiowanych, bez żadnych projektów narzuconych”.

Po tygodniu rysują na kawałkach jedwabiu – najpierw są to niewielkie chusteczki, potem szale i makaty. Nastolatki uczą się i pracują: nakładanie kolorów (farby na bazie barwików roślinnych), utrwalanie w ałunie, prasowanie przez bibuły, pranie w benzynie... „Droga długa i żmudna lecz dająca wspaniałe efekty” – komentuje Józefa. Jest najzdolniejszą członkinią zespołu. Ma własny styl. A przy tym zachwyca obowiązkowością, pracowitością i starannością. Wychodzące spod jej ręki batikowane tkaniny, ale też zdobione malowidłami drewniane misy, talerze, bombonierki świetnie się sprzedają. W 1925 przychodzi wielki sukces na Wystawie Sztuki Dekoracyjnej w Paryżu: medal i grand prix (zdobyte z siostrą, Zofią).

Warsztaty kończą działalność w 1926 roku, ale Józefa nie przestaje zajmować się sztuką użytkową (z przerwą na lata wojenne, kiedy pracuje fizycznie w okopach i obiera ziemniaki). W 1955 zostaje przyjęta do Związku Polskich Artystów Plastyków. W latach 1952–1968 współpracuje z Cepelią – przedmioty jej autorstwa spółdzielnia wysyła na eksport. Józefa ma mnóstwo zamówień. Tyle że od 1961 nie jest w stanie ich terminowo realizować – to skutek komplikacji po złamaniu ręki.

W 1968 dochodzą problemy ze wzrokiem. Józefa traci możliwość zarabiania na sztuce, dostaje skromny zasiłek, a ma na utrzymaniu dwie siostry. „Jedna staruszka lat 95 nieposiadająca żadnego zaopatrzenia, chora, druga siostra lat 73 otrzymująca jedynie niewielką rentę, sama poważnie chora po 4-letnim pobycie w Ravensbrück (pomimo starań nie została przyznana jej renta wojenna)” – pisze Józefa w podaniu o rentę specjalną. W staraniach wesprze ją ZPAP, przypominając: „jej skromność, koleżeńskość, prawdziwe umiłowanie sztuki polskiej, dla której wiele zrobiła – jest to osoba budząca szacunek i szczerą sympatię”.

Nawet w najtrudniejszych momentach Józefa wzbrania się przed wyprzedaniem swojego dorobku. Ma świadomość wartości swojej pracy. W maju 1973 roku prosi ZPAP o pomoc w zorganizowaniu wystawy na swoje 50-lecie pracy twórczej. Chce urządzić ekspozycję we własnym mieszkaniu przy Krowoderskiej („Mam lokal duży, jasny, prawie w centrum miasta i mam wiele czasu”). We wrześniu próbuje znaleźć wsparcie dla pomysłu wysłania kolekcji jako daru dla polonii w Stanach Zjednoczonych. Żadnej z tych inicjatyw nie uda się zrealizować.

W 1980 to, co zostało ze spuścizny Józefy, trafi do Muzeum Etnograficznego w Krakowie za sprawą jej siostry Zofii.

Aniela Korbiel

urodzona pod koniec XIX wieku

Zanim Aniela Korbiel otworzy własny zakład, pracuje u Pawłowskich przy krakowskim Rynku, nieopodal Wierzyńka. W 1920 roku przechodzi na swoje. W zajmowanym z mężem mieszkaniu przy Floriańskiej 25 (75 m²) tworzy własny zakład pracy (przestrzeń służbową oddziela od prywatnej przepierzeniem z mebli). Przez kolejnych 50 lat będzie tu funkcjonować Pracownia Haftu „ADA”.

W 1972 roku zawala się oficyna, w której mieszkają. Pracownia wraz z właścicielką przenosi się z centrum Krakowa na Kozłówek, osiedle budowane od połowy lat 60. XX wieku nad potokiem Drwinka, w południowej części dawnej wsi Prokocim. Niebawem „ADA” znów zmieni adres.

W 1973 roku, po śmierci Anieli, wyposażenie zakładu przejmie jej pracownica, Teresa Wróbel. Nie odziedziczy jednak po pracodawczyni mieszkania i będzie musiała szukać nowego lokum – dla siebie i dla maszyn.

W 1977 roku Teresa przenosi się z rodziną do bloku przy ulicy Łepkowskiego i, podobnie jak jej poprzedniczka, wydziela miejsce do pracy w domowej przestrzeni. Właśnie tam będzie prowadzić zakład aż do emerytury. Po tym jak przestanie używać otrzymanych w spadku po Anieli maszyn, przekaze je Muzeum Etnograficznemu w Krakowie. Wejdą do kolekcji w 2012 roku. Razem z koronkowymi rękawiczkami z lnianych nici, wykonanymi w pierwszej połowie XX wieku w Pracowni Haftu „ADA”.

KRÓLOWA MATKA

Żyje dla roju, jak każda inna pszczoła. Tyle że jej jedynym zadaniem jest wydawanie na świat potomstwa.

Łatwo odróżnić ją od innych mieszkank uli. Jest dużo większa, a na odnóżach nie ma włosków, nazywanych koszyczkami – nie potrzebuje ich, nigdy nie będzie zbierać pyłku. Ma mniejszy mózg, mniejsze czułki i gruczoły woskowe, za to bardzo duży odwłok, a w nim 300 rurek jajnikowych, wrażliwych na wszelkie uszkodzenia – przedmiot stałej troski całego ula.

Bezustannie otacza ją grupa robotnic: karmią ją, czyszczą i roznoszą po całym ulu zlizywaną z jej ciała substancję mateczną – dzięki niej żadna inna pszczoła nie złoży jajeczek. Królowa matka nie leniuchuje. Stale dostarcza dowodów swojej przydatności. Składane każdego dnia jajeczka ważą więcej niż ona sama.

Tylko raz opuści ul, by zebrać plemniki w trakcie lotu godowego. Połączą się z nią najszybsze i najzwinniejsze trutnie. Zapewnią potomstwu najlepsze geny i pożegnają się ze światem – każdy z nich umrze zaraz po akcie. Królowa wróci do ula i spędzi tam kilka lat, składając jaja. Do śmierci.?

Zdarza się i tak, że matka ucieka z ula i w otoczeniu pszczelej rodziny przenosi się w inne miejsce. Bez paniki. W specjalnych komórkach plastra dojrzewają kolejne kandydatki. Ta z nich, która dorasta i wydostaje się na świat jako pierwsza, szybko znajduje i eliminuje rywalki. Wygryza w ściankach konkurencyjnych mateczników niewielką dziurkę i wstrzykuje śmiertelny jad. Po wszystkim robotnice posprzątają i martwe poczwarki pretendentek. Pięć dni wystarczy, by nowa królowa zebrała siły i przygotowała się do swojego lotu godowego – jedyne w życiu.

Scholastyka Krupowicz

urodzona w 1906 r.

Tkactwa uczy się od mamy, w Marchelówce na Podlasiu. Jest w tym najlepsza spośród liczego rodzeństwa. To czasy, kiedy wiejskie gospodynie umieją samodzielnie robić nici i tkać z nich materiał: płótno na pościel, ubrania, ręczniki i sukno na ubiory wierzchnie. Na wyprawę ślubną Scholastyka przygotowuje kilkanaście ozdobnych dywanów i kilimów. Zabierze je ze sobą, kiedy z mężem zamieszka w Janowie.

Scholastyka jest rolniczką, prowadzi gospodarstwo i tka. A Janów jest miejscem, gdzie tkackie rzemiosło ma się naprawdę dobrze. W latach 30. XX wieku pojawia się tu Eleonora Plutyńska, artystka związana z warszawską ASP, współzałożycielka Spółdzielni Artystów „Ład”. Od miejscowych tkaczek uczy się uzyskiwania naturalnych barwników (z roślin łąkowych, z kory dębu) i odchodzących w zapomnienie dawnych technik. Podpatruje ich wzory, ale też podpowiada im własne – uznaje, że te zaczerpnięte z tradycji są lepsze niż te podpatrywane z modnych na wsi wyrobów fabrycznych.

Eleonora organizuje zespół tkaczek z Janowa, Sokółki i innych miejscowości w okolicy (po wojennej przerwie wróci, by ponownie skrzyknąć najlepsze tkaczki). Mają odtwarzać tradycyjne techniki i wzory dywanów dwuosnowowych – po jednej i drugiej stronie widać ten sam wzór, ale w odwrotnym układzie kolorów. Scholastyka zostaje członkinią tego zespołu i wkrótce okazuje się jedną z najwybitniejszych twórczyń. W jej dłoniach nici układają się w kwiaty, lasy, fantastyczne „zwierza”, później w całe obrazy wsi, sceny przy pracy i od święta.

Podlaskie dywany zyskują sławę i dobrze się sprzedają. Zdobią wnętrza domów miejskiej inteligencji zakochanej w wiejskiej kulturze. Obracają nimi Cepelia i Instytut Wzornictwa Przemysłowego, kolekcjonują je muzea. Scholastyka korzysta z tej koniunktury. Współpracuje z Cepelią, bierze udział w wystawach i konkursach, wielokrotnie zdobywa nagrody, należy do Stowarzyszenia Twórców Ludowych, jest stypendystką Ministerstwa Kultury i Sztuki. Za całokształt twórczości zostaje odznaczona Brązowym Krzyżem Zasługi. Jej dywany trafiają do zbiorów muzealnych i zagranicznych kolekcji. W 1977 roku zostaje laureatką Nagrody im. Oskara Kolberga jako reprezentantka regionu warmińsko-mazurskiego. W tym czasie przeprowadza się do Olsztyna.

Wtedy też współpracę z Cepelią zaczyna synowa Scholastyki, Filomena. Umiejętność samodzielnego przędzenia nici wynosi z domu, uczy się od mamy. W tajniki tkactwa wprowadza ją teściowa. Z czasem także Filomena zyska sławę i uznanie jako znakomita autorka dywanów.

Dorota Lampart

urodzona w 1906 r.

Ma swoją chatę i poletko na szczycie wzgórza w Czarnotowej, przysiółku Zawoi. Tutaj króluje niepodzielnie. Tutaj żyje z dnia na dzień w nędzy. Tutaj tworzy.

Nie lubi sąsiadów. Z wzajemnością. Nazywają ją „głupią Dorką” i stale obwiniają o niegospodarność. Otrzymane w prezencie obrazy wyrzucają do śmieci. Choć Dorota tworzy przez 80 lat, zachowa się niewiele jej obrazów.

Wychowywana przez dziadków, od dziecka samotna, chce żyć i tworzyć po swojemu. Maluje, haftuje, tworzy rzeźby z gliny i figurki zwierząt ze skóry i drutu, kompozycje z suszonych ziół i kwiatów. Układa wiersze i pieśni religijne. Pieniądze ze sprzedaży obrazów przeznaczają na zakup ziemi, której nie jest w stanie uprawiać. Z roślin najbardziej kocha chwasty: perz, maki, chabry. Gdy we wsi wszyscy śpią, ona pasie zwierzęta. Być może właśnie w nocy czuje się bezpieczna, wolna i szczęśliwa. Przez wiele lat wierzy, że urodzi bliźnięta – miał to zapowiadać rozdwojony pień rosnącej obok rodzinnego domu lipy. Ale marzenie o macierzyństwie nigdy się nie spełni. Podobnie jak to, żeby malować olejnymi farbami na płótnie.

W snach widzi niebo, Matkę Boską i świętych. Tym widzeniom, które uważa za zapowiedź przyszłości i przestrozę, poświęci kilka obrazów. Najstynniejszy z nich to „Niebo” – akwarela i kolaż na papierze pakunkowym.

Ostatnie 14 lat życia (niemal stuletniego) spędzi w zakładzie opiekuńczo-leczniczym w Rajczy, tęskniąc za Czarnotową i swoimi zwierzętami. W Rajczy namaluje na papierze wizerunek swojej świętej imienniczki. Dopisze na nim długopisem tekst modlitwy: „Panie boże dopomóż nam byśmy nie zbłądzili i wszyscy trafili do nieba bram”.

Na jej grobie znajdzie się napis „malarka ludowa”.

Regina Liliental

urodzona w 1875 r.

Dorasta w Zawichoście jako Gitla Eiger. Ma 9 lat, kiedy zaczyna naukę w sandomierskim progimnazjum. W szkole funkcjonuje pod nowym, polskim imieniem – Regina (jest tam jedyną żydowską dziewczynką).

Po ślubie przeprowadza się do Warszawy. Chce studiować, ale tutejsze uniwersytety są tylko dla mężczyzn. Zostaje więc studentką działającego nielegalnie Uniwersytetu Latającego. Jest słuchaczką tajnych wykładów organizowanych w prywatnych mieszkaniach, między innymi przez Ludwika Krzywickiego, prekursora polskiej socjologii.

Fascynuje ją polski folklor, ale naukowe badania poświęca kulturze jidysz: obyczajowości, wierzeniom, literaturze – będzie pionierką w tej dziedzinie. Znajomość języków żydowskich i judaizmu wyniesione z domu sprawiają, że pisze z dogłębną znajomością rzeczy i wycuciem (uczy się też aramejskiego, żeby studiować Gemarę). Jako jedyna przytacza w tłumaczeniu na polski obszernie fragmenty modlitw kobiecych, *tchines*, i rozważa ich treści w kontekście obyczajowym i magiczno-leczniczym.

Zarabia, pisząc i ucząc historii w żydowskiej szkole dla dziewcząt. Ma na utrzymaniu dwójkę dzieci. Pracę utrudnia postępująca choroba płuc. Nie porzuca jednak etnograficznych badań. Publikuje w najważniejszych polskich czasopismach etnograficznych: „Wiśle”, „Ludzie”, ale też w naukowych pismach wydawanych w języku jidysz, „Jidisze Filologie” oraz w „Ogniwie”, tygodniku lewicowej inteligencji. Przekonuje, że Żydzi mają prawo do zachowania odrębności kulturowej, że odmienność nie musi oznaczać wrogości. Tłumaczy na polski literaturę pisaną w jidysz (najbardziej ceni Icchaka Lejba Pereca).

Docenia także wagę materialnych świadectw życia. Muzeum Etnograficznemu w Warszawie (działającemu wówczas przy Muzeum Rolniczo-Przemysłowym) przekazuje ciastka purimowe, wycinanki na święto Szawuot, chanukowe bączki – drejdle, grzechotki, kołatki i dwa amulety, z których jeden należał w dzieciństwie do jej wuja. Wszystko to przepadnie pod gruzami zbombardowanej Warszawy w 1939.

W Muzeum Etnograficznym w Krakowie zachowają się między innymi jej fotograficzny portret i rysunek do książki *Dziecko żydowskie*, wydanej w 1904 roku przez Akademię Umiejętności w Krakowie (publikację przygotowuje nowy redaktor działu etnograficznego, Seweryn Udziela, w przyszłości założyciel i pierwszy dyrektor MEK). Książka cieszy się bardzo dużym uznaniem, zostanie wznowiona w 1927, już po śmierci autorki.

Regina umiera po nieudanej operacji w 1924 roku. Śmierć przerywa jej pracę nad czwartym tomem *Świąt żydowskich*.

Helena Lustgarten-Ogrodzka

urodzona w 1876 r.

Wydaje się, że Helena nie powinna mieć problemów ze zdobyciem wykształcenia. Jest córką krakowskiego lekarza, radnego miejskiego i społecznika Ludwika Lustgartena (w roku urodzenia córki Ludwik zostaje współzałożycielem i prezesem krakowskiego Stowarzyszenia „Samopomoc” ku Wsparciu Uczniów Szkół Średnich Wyznania Mojżeszowego i prezesem Stowarzyszenia Czytelni Polskiej na Kazimierzu). Ale w Krakowie nie ma państwowej wyższej uczelni, na której mogłaby studiować. Wielu jeszcze uważa, że studia dla kobiet to fanaberie.

Zapisuje się na Wyższe Kursy dla Kobiet zorganizowane przez Adriana Baranieckiego przy Muzeum Techniczno-Przemysłowym. Kończy też Szkołę Sztuk Pięknych Teofilii Certowicz (oprócz założycielki, uznanej rzeźbiarki, uczą tu także inne sławy, np. malarstwa: Włodzimierz Tetmajer i Jacek Malczewski). Obie szkoły zapewniają kształcenie na poziomie wyższych uczelni, ale nie dają dyplomu, a co za tym idzie, uprawnień zawodowych.

Helena studiuje dalej, za granicą. Najpierw w Monachium, potem w Paryżu. Po powrocie do Polski pracuje jako nauczycielka. Uczy rysunku i historii sztuki w gimnazjum w Zakopanem. Maluje i wystawia obrazy w krakowskim Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych i warszawskiej Zachęcie.

Mieszka z mężem nieopodal krakowskiego Rynku, przy Siennej. Artur jest adwokatem, znanym z miłości do zwierząt – kiedy wraca z pracy w kancelarii, na Sienną wybiega cała gromada czworonożnych domowników (wśród nich także sarna). Helena raz w tygodniu elektryzuje wszystkich sąsiadów, wzywając straż pożarną, by pomogła jej zbierać z pobliskich drzew wypuszczane na spacer kanarki. Oboje manifestują lewicowe poglądy (Helena angażuje się w działania Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy oraz Komunistycznej Partii Polski). Oboje oprócz sztuki kolekcjonują także przedmioty związane z kulturą chłopską. Helena działa w Towarzystwie Muzeum Etnograficznego w Krakowie. W 1914 roku przekazuje MEK 6 łyżników z Podhala.

Po wybuchu II wojny Artur i Helena Lustgartenowie zmieniają nazwisko na Ogrodzcy. Wyprowadzają się z Krakowa. Zachowa się informacja, że w latach 1941–1942 Helena zarabia malowaniem dla lokali gastronomicznych w Warszawie. Czy mąż jest wtedy przy niej? Dokładna data i miejsce jego śmierci pozostaną nieznane. Helena przeżyje. W 1944 z ramienia Ministerstwa Kultury i Sztuki uczestniczy w organizowaniu Muzeum na Majdanku, na terenie byłego obozu koncentracyjnego.

W 1946 roku Helena przekazuje MEK 80 zabytkowych przedmiotów (obrazy na szkło, ceramikę, 5 rzeźb i 2 spiskie gorsety), z zastrzeżeniem, że wszystkie mają stanowić w kolekcji nierozdzielną całość i w miarę możliwości mają być wystawiane w osobnym pomieszczeniu, jako „Zbiory P. Heleny Ogrodzkiej”. Nigdy do tego nie dojdzie. W momencie podpisania tego zobowiązania Muzeum

reorganizuje się po wojnie i nie ma nawet swojej siedziby (zyska ją dopiero w 1948). Helena mieszka wtedy w Warszawie, pracuje w Archiwum Bezpieczeństwa Publicznego.

Wróci do Krakowa kilka lat później. W 1950 zostaje zatrudniona jako kustoszka w MEK, 1954 – na Zamku Królewskim na Wawelu. Z jej malarskiego dorobku nie zachowa się niemal nic.

MARIA

urodzona przed 20 rokiem p.n.e.

Joachim i Anna długo nie mogą doczekać się potomstwa. W końcu składają przyrzeczenie, że jeśli będą mieli dziecko, przeznaczą je do służby Bogu. To działa. Pewnego dnia Annie ukazuje się anioł, który oznajmia, że dziecko, które urodzi, będzie wielbione przez cały świat. To będzie dziewczynka, Maria.

Przekonana o swoim przeznaczeniu, Maria dorasta w świątyni. Nie zamierza wychodzić za mąż. A jednak zawiera małżeństwo z Józefem, cieślą z Nazaretu. To w domu męża Archanioł Gabriel oznajmia jej, że pozostając dziewicą, będzie miała syna.

Syn Marii, Jezus, przychodzi na świat w stajence (małżonkowie są w drodze, w związku ze spisem ludności), ale nie ujdzie to uwadze świata. Król Judei postanawia zamordować wszystkich chłopców poniżej dwóch lat – tak bardzo obawia się, że Jezus kiedyś pozbawi go władzy. Maria i Józef nie czekają na siepaczy Heroda, uciekają z noworodkiem do Egiptu. 40 dni po narodzinach ofiarują syna w świątyni Jerozolimskiej. Maria usłyszy tam od starca Symeona: „A Twoją duszę miecz przeniknie, aby na jaw wyszły zamysły serc wielu”. Czy rozumie, co to znaczy?

Jej syn ma zbawić cały świat. A ona? Ona jest matką: wspiera, doradza, wycofuje się, cierpi. Maria trwa przy swoim synu, towarzyszy mu w momentach próby i w drodze na śmierć. Jest też jedną z trzech kobiet, które jako pierwsze zobaczą pusty grób Jezusa i zaświadczą o niewiarygodnej prawdzie: można pokonać śmierć.

Sama nie umrze, ale zaśnie i zostanie wzięta do nieba. Miliony kobiet uznają ją za orędowniczkę swoich spraw, powierniczkę, pocieszycielkę. Kobięcą agentką w patriarchalnym niebie.

MICHALDA (Makeda)

urodzona w X wiek p.n.e.

Jest władczynią pustynnej krainy Saby (dzisiejszy Jemen). Miewa wizje, w których ogląda przyszłość: świat zmierzający ku zagładzie, wojenne pożogi, bratobójcze konflikty.

Pewnego dnia zjawia się u słynącego z mądrości króla Salomona. Chce opowiedzieć mu o tym, co się wydarzy. Król nakazuje swoim kronikarzom, by spisali proroctwo. Będzie ono krążyć po świecie w licznych przekładach, odpisach, interpretacjach.

W ludzkiej wyobraźni Michalda połączy się z inną wieszczką, grecką Sybillą. Ta miała przybyć do króla Tarkwiniusza z przepowiednią spisaną w dziewięciu księgach. Na oczach króla spali sześć woluminów, ostatnie trzy Tarkwiniusz odkupi od niej za cenę całości. Podobno zachowają się do 83 roku p.n.e.

Jedną z wersji przepowiedni Michaldy/Sybilli przechowuje Muzeum Etnograficzne w Krakowie. Całość mieści się w obłożonym w niebieski papier zeszyte. To wersja spisana ręką Julii Kawy, gdzieś w okolicy Gorlic, w Małopolsce.

„Właśnie słońce w górę wyszło Michalda zaś usiadła naprzeciw wschodu słońca i rozpała się jej twarz jak ogień i zaczęła się trząść, aż się król Salomon przeląkł i do niej rzekł, Królowo, co to ma znaczyć, że twarz twoja do słońca podobną się stała albowiem mnie strach i bojaźń opanowała. Odpowiedziała królowa królowi już wiele ci opowiedziałam sprzyszości ale więcej ci jeszcze opowiem, bo Bóg prawy dał mi znak abym tobie wszystko opowiedziała co ten świat oczekiwać ma, to jest o ludziach których jeszcze na świecie niema, którzy dopiero na świat przyjdą” – czytamy.

[na lewą stronę] „Jest nad morzem i do dnia ostatniego stać będzie wieża Babilot, zaczęta przy wnukach Adama. Na wieży Babilot mieszkają sybille – niby to panny, mające węże za plecami. Stara matka siedzi z nimi i prządzie, nigdy nie mota. One wszystkie szyją dla matki koszulę śmiertelną: jak uszyją, to świat się skończy. Co raz źgnie igłą, to rok minie. Już mają rękawy uszyte, i mało brakuje, by szyć przestały” (Oskar Kolberg, *Dzieła wszystkie*, t. 7: Krakowskie, cz. III).

Enriqueta Elena Peréz

urodzona w pierwszej połowie XX wieku

Enriqueta składa swój warsztat tkacki z fragmentów ogonka liściowego palmy nazywanej w języku ashaninka *toniro* (*Mauritia flexuosa*, ciemne, gładkie patyki) i z drewna *topa* (*Ochroma pyramidale*), które ze względu na swoją lekkość używane jest do konstrukcji tratw (jasne, grube patyki). Szeroką listwę pata, z twardego i lekkiego drewna palmy *kiri* (*Bactris gasipaes*), służącą do ubijania nici wątku, Enriqueta dostaje od przyjaciółki, Carmen.

Enriqueta i Carmen to dwie z trzech założycielek wioski Sabareni. W latach 70. XX wieku wraz z dziećmi emigrowały z regionu Rio Negro i osiedliły się nad rzeką Tambo. Carmen oddaje swoją pata przyjaciółce, kiedy z powodu postępującego reumatyzmu nie może już tkać. Nie jest jej łatwo: używa listwy od 40 lat, od czasu, kiedy wykonał ją dla niej dziadek. Ale ma pewność, że najważniejsza część jej warsztatu trafia w dobre ręce.

Enriqueta jest uznawana w swojej wiosce za świetną tkaczkę. Dowodem uznania jej sztuki są tatuaże na kościach policzkowych. Na brzegu pola z roślinami jadalnymi Enriqueta uprawia własne krzewy bawełny *ampe* (*Gossypium barbadense*). Sama przędzie nici. W zależności od odmiany bawełny uzyskuje odcienie od naturalnej bieli, poprzez ecru, do jasnych brązów. Barwi też nici na czarno, mocząc je w błocie z bagien, gdy obniża się poziom rzeki. Kolor czerwony otrzymuje z „leśnej lili”, zwanej przez kobiety Asháninka *piririshi*; fioletowy – z pozyskiwanych w lesie liści *choritoitoki*.

Cenione są zarówno wykonywane przez nią męskie tuniki (*cushma*, *kitsarentsi*, *matsarantsi*, *obashirontsi*), jak i szerokie pasy do noszenia dzieci – *apariny*. „Nikt nie potrafi tkać tak jak Enriqueta. Robione przez nią *cushmy* były ciepłe i trwałe, a równocześnie lekkie i przewiewne”, będzie wspominać w 2017, dwa lata po śmierci Enriquety, jedna z mieszkanek Sabareni, Gladiz Marzano Chanchani.

Zdania te zostaną zanotowane przez Joannę (Sosnowską), która w 2008 roku trafia do wioski założonej przez Enriquetę jako biolożka. Za pierwszym razem zaledwie na 4 dni, na skutek językowej pomyłki (przewodnik proponuje znacznie łatwiej dostępne Sanibeni, ale Joanna wypatruje na mapie Sabareni). Podróż rzeką z Satipo, ostatniego miasteczka na trasie nad Tambo, trwa od świtu do zmierzchu, ale nie zniechęca to Joanny. Będzie tu wracać, coraz bardziej zafascynowana życiem mieszkańców wioski. *You are infected by anthropology* („Jest Pani zainfekowana antropologią”), usłyszy od jednego z profesorów botaniki.

Joanna sprowadzi do Muzeum Etnograficznego w Krakowie między innymi warsztat Enriquety z fragmentem tkaniny na *aparinę*. Zawdzięczamy jej także serię nagrań filmowych, na których możemy zobaczyć, jak Enriqueta rozstawia swój warsztat, jak tka, jak przędzie śnieżnobiałą nić, siedząc na ziemi i gawędząc ze swoją przyjaciółką, Carmen.

Aleksandra Polańska-Hryńczuk

urodzona w 1911 r.

Gdy dzieci z Łabowej idą na nabożeństwo w Wielką Niedzielę (Wetykden) w południe, każde ma ze sobą pisanekę, zawiniętą w chusteczkę albo niesioną w garści. Ustawiają się pod carskimi wrotami i wybierają, czyja pisanka najładniejsza. Jak często tę rywalizację wygrywa Aleksandra, wąż i chorowita, daleko bardziej ceniąca spacer po łąkach niż tłoczne wesela, chrzciny czy wieczyrki?

Rodzina Aleksandry, Polańscy, to w Łabowej nie byle kto. Najzamożniejsi we wsi, a do tego pieczętują się herbem – niedźwiedzią łapą. Aleksandra przychodzi na świat jako dziesiąte dziecko. Po niej urodzi się jeszcze dwóch braci. Kiedy podrośnie, rodzice wyślą ją do szkoły w Nowym Sączu, gdzie mieszka jej babka, nauczycielka. Kończy seminarium nauczycielskie ze znakomitymi wynikami. Planuje przyszłość. Zamierza otworzyć pensjonat w Krynicy, na spółkę z siostrą,

Heleną. W 1938 roku wyjeżdża do Wiednia, by przekonać się, jak działa nowoczesne hotelarstwo. Po dwóch miesiącach podupada na zdrowiu i trafia do sanatorium w Alpach. Leżąc na werandzie, na wysokości 3000 metrów n.p.m., marzy o rodzinnej wsi. Szybko wraca do Łabowej – czasy niepewne, a mama i brat ciężko się pochorowali.

1 września 1939 roku Aleksandra wraz z wieloma innymi Łemkiniami zostaje aresztowana i na kilka tygodni trafia do Berezy Kartuskiej. W 1940 wychodzi za mąż za leśnika i spędza wojenne lata w nadleśnictwie Sietnica koło Gorlic, rodzi córkę i syna. W 1947 udaje się jej wrócić do Łabowej, ale w 1959, kiedy dzieci kończą szkoły, cała rodzina przenosi się do Wrocławia. To stamtąd Aleksandra przesyła pisanki na konkurs ogłoszony przez Muzeum Etnograficzne w Krakowie. Zgłoszeń nadchodzi tysiące, ale to ona wygrywa. Dziś w kolekcji MEK znajduje się ponad 90 jej pisanek.

W rozmowie z Zofią Cieślą-Reinfuss, etnografką i organizatorką konkursu, Aleksandra wspomina, że przez całe życie „ciapie” pisanki (tak o zdobieniu jaj mówią Łemkowie z Łabowej). Zawsze ozdabia je techniką batikową: na starannie oczyszczoną, lekko podgrzaną powierzchnię jaja nakłada roztopiony воск, spływający ze specjalnie spiłowanej główki szpilki (w czasach okupacji, z braku szpilek zdarzało jej się „ciapać” pisanki drutem od parasola). Pokryte wzorem pisanki zanurza w farbie (naturalnej lub chemicznej), a potem na ciepło zdejmuje warstwę wosku. Aleksandra bardzo lubi pisanki wielobarwne, także te z białym wzorem na kolorowym tle – najdawniejsze łemkowskie pisanki, jakie pamięta. „Pochodzę ze wsi łemkowskiej, ciapałam od dziecka pisanki takie, jakie u nas robiono”, podkreśla. Uczestnicząc w konkursach i wystawach, wyrabia w sobie nawyk sygnowania swoich pisanek skrótem „łem” (лем), pisanym cyrylicą.

Kiedy Aleksandra zasiada do ciapania pisanek, przenosi się z powrotem do Łabowej i spotyka kobiety, wśród których dorastała. Prababcię i babcię, od których podpatrzyła wzór słoneczka, mamę, która pomagała i doradzała pięciolatce przy pierwszych pisankach, Judzię Konkol z Potoka, od której nauczyła się pozyskiwać zielony barwnik z żyta, matkę chrzestną Julię Wójtowiczową, która robiła najładniejsze pisanki w Łabowej, nianię Glicerę, która najpiękniej opowiadała o dobrych i złych duchach, Sztefkę, która plotła małej Aleksandrze mysie ogonki („ona nawet w ostatniej godzinie życia o mnie pamiętała”), Fulę, w której malutkim sklepiku można było kupić wszystko, także najlepsze szpilki, Lompę, dziewczynę, „która była jak sam ogień, rozśpiewana od samego rana jak szła z konwiami po wodę do potoka, która wiecznie hulała i śpiewała”. Najbardziej lubi, gdy jest wtedy we wrocławskim mieszkaniu sama.

„Dziś, robiąc pisanki, przeżywam samą siebie”, wyznaje.

[na lewą stronę] *Mam na swoje pisanki wielu amatorów kolekcjonerów tu w kraju i za granicą, w szczególności w Ameryce. Ale ciężko mi jest z każdą się pożegnać, bo przecież tyle mam przyjemności przy przeglądaniu ich, np. w czasie choroby czy jak mnie smutek ogarnie. Gdy owładną mną wspomnienia, to wtedy wszystko idzie na opak, nieprzespane noce, nieposprzątany dom, nieugotowany obiad, tylko w robocie kropelki na serce i cieszenie się pisankami.*

Felicja Piotrowska

urodzona w 1828 r.

Pęknięty i zdrutowany talerzyk z weneckiego szkła trafia do Muzeum Etnograficznego w Krakowie jako część schedy po założycielu MEK, Sewerynie Udzieli. Choć tak naprawdę jest to przedmiot związany z historią przodków jego żony, Heleny.

Pierwszą właścicielką talerzyka jest Felicja (z domu Winogrodzka, primo voto Pohorecka, secundo voto Piotrowska). Wiemy, że zabiera ze sobą ten kruchy przedmiot, kiedy wyprowadza się z rodzinnego domu po ślubie. I nie zapomina o nim, kiedy ucieka z majątku pierwszego męża jako osiemnastoletnia wdowa, podczas krwawych wydarzeń rabacji w 1846 roku.

To Felicja zadba o to, by talerzyk trafił w ręce druciarza – dzięki temu, pomimo pęknięcia nie rozpada się na kawałki i trwa w rodzinie około 150 lat, otaczany troską i przekazywany córkom przez matki. Aż do momentu, kiedy prawnuczka Felicji, Zofia, podarowuje talerzyk i opowieść o nim Muzeum Etnograficznemu w Krakowie.

„Mama moja pilnowała tego talerzyka i opowiadała mi, że to jest talerzyk, który był w babci kredensie, a babcia go miała ze swojego domu, czyli od prababki Felicji”, wspomina Zofia Sulikowska-Zegan w rozmowie z Alicją Małętą w 2010 roku.

W serii nagranych z okazji stulecia Muzeum wywiadów Zofia opowiada o swoim dziadku i o atmosferze jego domu. Nasyca szczegółami codziennego życia założycielski mit instytucji. Wywołuje z niepamięci kobiety, bez których wszystko mogłoby się potoczyć inaczej. Czy już ich nie zapomnimy?

Eugenia Smoleńówna

urodzona na początku XX w.

Eugenia zostawi nam dwa świadectwa: solidny zeszyt i włożony między jego kartki brudnopis. Trafiają do Muzeum w 2005 roku, odnalezione na strychu jednego z krakowskich domów. Żadne z nich nie ujawnia związków Eugenii Smoleńówny z Krakowem.??

W dokumentach natkniemy się na nazwy dwóch miejscowości z centralnej Polski: „Ruzinów” i „Hodecz” (prawdopodobnie chodzi o Rózinowo, dzisiaj część Włocławka, i Chodecz, znajdujący się nieopodal). Eugenia prowadzi tam kursy trykotarstwa ręcznego. Dowiemy się, że kursy te organizuje Związek Obywatelskiej Pracy Kobiet – jedna z najbardziej wpływowych polskich organizacji kobiecych okresu międzywojennego. Założycielką i prezeską ZPOK (do 1935) jest Zofia Moraczewska, działaczka społeczna i lewicowa polityczka, posłanka, żona premiera Jędrzeja Moraczewskiego. W 1932 roku, w momencie swojej największej popularności, Związek liczy około 50 tysięcy członkiń.

ZPOK stawia na działanie. Stara się zapewnić kobietom opiekę i wsparcie, szczególnie w okresie macierzyństwa i w sytuacjach kryzysowych. Organizuje i prowadzi domy matki i dziecka, żłobki, dziecińce, przedszkola i ogródki jordanowskie, świetlice, kolonie i półkolonie, akcje dożywiania dzieci rodziców bezrobotnych (także banki pokarmu dla niemowląt pod hasłem „Kropla mleka”) oraz poradnie – prawne, medyczne, psychologiczne, pedagogiczne. Uruchamia kursy zawodowe dla dziewcząt i kobiet: „tkactwo, wełniarstwo, trykotarstwo, krój i szycie, roboty ręczne, haft, siatki, kwiaty sztuczne itd.”. W deklaracji ideowej Związku znajdzie się miejsce na postulat „wyrabiania w społeczeństwie celowości równouprawnienia kobiet, a w szczególności ich prawa do pracy zarobkowej, prawa do zajmowania – stosownie do kwalifikacyj – kierowniczych stanowisk w pracy zawodowej, społecznej i politycznej, oraz odpowiedniego wpływu i udziału w pracach ogólnopolskich”, ale też „zwalczania zasady podwójnej moralności”. Kobiety chcą rzeczywistego równouprawnienia, zapisanego w Konstytucji.

Prawdopodobnie właśnie dla tej organizacji Eugenia przygotowuje sprawozdanie. Zaczyna od starannie wykaligrafowanego nagłówka, potem elegancki odstęp i akapit, w którym relacjonuje, że kurs rozpoczął się 8 lutego, że uczestniczyło w nim 15 kobiet (w pełnym wymiarze, jeszcze jedna dołączyła w połowie) oraz że odbywał się w świetlicy związkowej, z którą było „szereg kłopotów”. Dalsza część nie jest już tak łatwa do rozczytania, pełno w niej skreśleń i dopisków między linijkami. Eugenia prosi o pomoc w rozwikłaniu „kwestji jakie zaszyły” w związku z opieszałością sekretarki oddziału Związku we Włocławku – niedostarczenie na czas pisma do centrali w Warszawie spowodowało problemy z przedłużeniem kursu w Ruzinowie. „na którym pełne 20 uczestniczek, garnących się (z zapałem – skreślone) do pracy”.

Tyle brudnopis. Ale jest jeszcze zeszyt: 30 gładkich kartek przedzielonych bibułkami. Na każdej stronie zwymiarowane rysunki krojów, starannie wykonane czarnym i czerwonym ołówkiem. Wśród nich ubranka dla niemowląt (koszulki, kaftaniki, czapeczka, śliniaczek, powijak), dla dwuletniego dziecka, damskie koszule (dienne i nocne), reformy, paski do podwiązek, bluzki, kołnierze, mankiety, fartuszki, spódnice, męska bielizna i koszule, bielizna pościelowa. I jeszcze: „Bielizna dziecięca do dwóch lat. Wymiary”, „Zestawienie proporcjonalne” oraz „Tabela miar kalesonów” – precyzyjne dane ujęte w nienagannie skrojone tabele. W dolnym rogu papierowej okładki naniesiony białym tuszem napis: „E. SMOLENIOWNY III S. H.”.

Zofia Stryjeńska

urodzona w 1891 r.

Żeby studiować sztukę, wyjeżdża do Monachium. Krakowska ASP nie przyjmuje studentek (dziewczęta będą mogły tam studiować dopiero od 1920). Zresztą nawet za granicą Zofia studiuje

w męskim przebraniu, posługując się dokumentami brata. Deklaruje, że wybrała tę właśnie uczelnię, bo uznawano ją za najlepszą. I najtrudniejszą.

Wraca do Krakowa w 1912 i od razu debiutuje na wystawie w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych. Cykl *Polskich bajd* na tle opowieści ludowych wzbudza powszechny zachwyt. Wszystkie siedem obrazów zostaje od razu sprzedane w sumie za 3 tysiące złotych (to, dla porównania, roczna pensja kierownika w krakowskiej fabryce czekolady).

Zofię inspiruje polski folklor i trafia na swój czas – ludowość jest modna wśród elit: arystokracji, ziemiaństwa, inteligencji. Nastroje te przyczynią się także do powstania Stowarzyszenia Warsztaty Krakowskie, działającego w Muzeum Techniczno-Przemysłowym przy ulicy Smoleńsk. Zofia zajmie się tam projektowaniem zabawek. Kilka z tych, które wyszły spod jej ręki, znajdzie się w kolekcji MEK. Między innymi smok – po wzięciu do ręki zaczyna się wić, jak żywy.

W 1925 roku Zofia odnosi wielki sukces na Wystawie Sztuki Dekoracyjnej w Paryżu. Największe wrażenia robi cykl jej sześciu wielkoformatowych obrazów – na każdym alegorie dwóch miesięcy. Ale nagrodzone zostają także zabawki, ilustracje, plakaty, gobelin. Zofia przywozi z Paryża cztery grand prix, wyróżnienie specjalne i Legię Honorową. Ma poczucie, że świat stoi przed nią otworem.

Jednak nie zbije majątku na sztuce. Całe życie, nawet w okresie niebywałej popularności, będzie się borykać z długami, zastawiać swoje obrazy, meble, ubrania i zabiegać o nowe pożyczki. Tym, co zarobi, obdziela rodzinę, dzieci, wierzycieli. Trzyma się z dala od polityki. Lekceważy towarzyskie układy.

Całe życie, niezależnie od koniunktury, maluje słowiańskich bogów, żywioły, pory roku, wiejskie obrzędy i stroje. Zapytana o przywiązanie do ludowych inspiracji, odpowiada: „Nasze życie jest okropnie szare. Nawet taksówki w mieście są szare. Ubrania wasze, was, nieszczęsnych mężczyzn, to parodia barwy. Szarość, szarość, szarość! (...) Trzeba iść po barwę na wieś”.

Cztery lata przed śmiercią, jako osiemdziesięcioletnia, notuje: „Co do mojej spuścizny artystycznej, jest ona ogromna i gdzieś po ludziach na świecie całym zagubiona. Byłby wór złota i Chwała Narodu, gdyby się kto tym kiedy zajął. Zofia Stryjeńska. Amen”.

Midori Suzuki

urodzona w pierwszej połowie XX w.

Kiedy w połowie lat 90. XX wieku przyjeżdża do Krakowa, jest już znaną mistrzynią starodawnej japońskiej techniki wyplatania taśm, jedną z najwybitniejszych twórczyń *kumihimo*. Dobrze się czuje w Krakowie. Lubi tu wracać. Od 2009 roku także do Muzeum Etnograficznego w Krakowie.

Na początek znajomości podaruje MEK dwa warsztaty *marudai*, zestaw szpul *tama* i obciążników *omori*. A także próbki jedwabnych nici. W 2011 bierze udział w cyklu „Druga strona rzeczy”

(to jedno z wydarzeń, poprzez które Muzeum świętuje swoje stulecie) – prezentuje tajniki warsztatu publiczności. Wszystko tu jest równie ważne i piękne: tkanina i proces jej wytwarzania, drewno, z którego wykonano warsztat, rytmiczny odgłos szpilek tama podczas pracy, struktura i kolor nici.

W 2014 roku Midori Suzuki podaruje MEK wyplatany obraz „Shinonome” („Chmury o wschodzie słońca”), wykonany specjalnie dla Muzeum, w podziękowaniu za gościnność. To dzieło, nad którym pracuje przez ponad rok u siebie, w Yamato na wyspie Honsiu. Ale inspiracją jest wspomnienie któregoś z poranków spędzonych w Krakowie.

Do tkaniny Midori dołącza kaligrafię. Opisuje typy splotów i naturalne barwniki, których użyła do farbowania jedwabnych nici. Gradacje odcieni różu i czerwieni *benibokashi* uzyskuje z kwiatów krokosza barwierskiego (*Carthamus tinctorius L.*), który jest źródłem żółci i czerwonej kartaminy, a także barwy niebieskiej z indygo i purpurowo-fioletowej z marzanny.

Cecylia Śniegocka

urodzona w 1862 r.

W życiu Cecylii sporo tego, co tajne, utrzymane w tajemnicy, bo nielegalne.??

Począwszy od wykształcenia, które zdobywa na tajnej pensji Florentyny Domaszewskiej-Włoszkowej (tzw. żeński zakład naukowy zostanie zamknięty przez carskie władze w 1877 roku na skutek denuncjacji). Jako dwudziestojednolatka, rok po zamążpójściu, Cecylia zaczyna działać w tajnym Kobięcym Kole Oświaty Ludowej, kilka lat później włączy się w prace tajnego Koła Kobiet Korony i Litwy. W 1894 wraz z Heleną Ceysingerówną, Teresą Ciszkiewiczową i Jadwigą Krausharową zakłada Towarzystwo Tajnego Nauczania i zostaje jego kierowniczką. Towarzystwo organizuje szkoły (tajne!), w których młodzież robotnicza i rzemieślnicza uczy się polskiego i historii. Dzięki Sekcji Prowincjonalnej kółka tajnego nauczania powstają m.in. w Łodzi, Piotrkowie, Wilnie, Kielcach i Lublinie. To wielkie przedsięwzięcie: kierowane przez Cecylię Towarzystwo w 1901 roku obejmie tajnym nauczaniem jedną trzecią mieszkańców Królestwa Polskiego.?

Cecylia działa: w Towarzystwie Oświaty Narodowej, w Macierzy Szkolnej Królestwa Polskiego, w Związku Unaradawiania Szkół, w Towarzystwie Wychowania Przedszkolnego, w Kobięcym Kole Oświaty Ludowej, w Lidze Narodowej (opuści ją w proteście wobec prorosyjskiego zwrotu Ligi), w Warszawskim Towarzystwie Dobroczyńności. Zabiega o to, by w prace włączyć także inne kobiety. Jest jedną z pierwszych polskich działaczek feministycznych. Współorganizuje Zjazd Kobiet Polskich w Zakopanem (15-18 VII 1899), na którym po raz pierwszy spotkają się kobiety z trzech zaborów. Podczas drugiego trójzaborowego Zjazdu Kobiet Polskich w Warszawie (9-12 VI 1907) wygłasza referat: „Jak się uczyć dzieci pozbawione szkoły”.

W 1918 roku kobiety zyskują prawa wyborcze, a polska edukacja staje się legalna (wiele lat zajmie porządkowanie i upowszechnianie). Cecylia angażuje się w działania Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, które organizuje wycieczki, wystawy, gromadzi zbiory naukowe, otacza opieką pamiątki historyczne i osobliwości przyrody. Być może właśnie wtedy zaczyna zbierać lalki w regionalnych strojach, wzorniki haftów, wiejskie ubiory i nakrycia głowy, także te dla dzieci. Być może właśnie dzięki PTK staje jej się bliskie Muzeum Etnograficzne w Krakowie. W latach międzywojennych przekazała tej młodej instytucji mniej więcej 300 przedmiotów z Podola, Suwalszczyzny, Litwy i centralnej Polski.?

Olimpia Tunia

urodzona w pierwszej połowie XX w.

Olimpię poznajemy jako młodą matkę, dzięki opowieści jej syna, Krzysztofa. To on przekazuje Muzeum laktator, dzięki któremu w niemowlęctwie był karmiony mlekiem mamy. Niewielki szklany przedmiot przypomina lejek (a może trąbkę?) i pozostaje zagadkowy, dopóki nie wyobrazimy sobie jego brakującej części. Trafia do Muzeum pozbawiony gumowej gruszki – bez jej ssącej mocy nie wytoczy się ani kropelki.?

Urodzona i wychowana na Podhalu, Olimpia po II wojnie światowej wyjeżdża z mężem do Szczecina. Nowe polskie państwo propagowało wtedy akcję zasiedlania terenów, tzw. Ziemi Odzyskanych, które dopiero co opuścili wysiedleni Niemcy. Olimpia traktuje przeprowadzkę na drugi koniec Polski za „prawie że patriotyczny obowiązek”.

Kiedy na początku lat 50. XX wieku rodzi w Szczecinie dwóch synów, uczy się pielęgnacji niemowląt z niemieckiej książki (pamiątkę tę rodzina przechowuje do dziś). I tęskni za Zakopanem. „Mama czuła się tam obco. Miasto za duże. Środowisko nie takie, do jakiego była przyzwyczajona. W związku z tym namówiła ojca i wrócili na Podhale”, wspomina Krzysztof w rozmowie z Agnieszką Marczak i Olgą Błaszczyńską, pracującymi w MEK. I jeszcze: „Z tego, co mi mama opowiadała, warunki wychowywania dzieci po II wojnie światowej były bardzo trudne, trzeba było wszystko zdobywać, każdą rzecz!”. Jak było z laktatorem i szklaną butelką, która razem z nim trafiła do kolekcji MEK? „Nie wiem, jakiej proveniencji jest ta butelka, czy to była polska produkcja, czy też jakaś ponemiecka zdobycz. Trudno mi powiedzieć, tego nie wiem, nigdy mamy nie spytałem”.?

WENUS

Zanim Rzymianie skojarzą ją z grecką Afrodytą (tą, która wyłoniła się z piany, łagodną i błogą) i uznają za boginię miłości, jest boginią wiosny, roślinności i ogrodów warzywnych. Portretowana, najczęściej ma przy sobie owoce i kwiaty.

Czci ją rzymski ród Juliuszów, uznających się za potomków Eneasza – syna Wenus i Anchizesa, pasterza z Troi.

Choć jest tą, którą za żonę chce mieć każdy z bogów, wpada jej w oko śmiertelny przystojniak pasący bydło na halach Idy. Zanim zstąpi do jego szałas, leci do swojej świątyni w Pafos na Cyprze. Tu Charyty kąpią ją, nacierają jej ciało wonnym olejkiem i ubierają w kosztowne szaty. Kiedy zmierza ku ukochanemu przez Idę, łaszą się do niej wilki, lwy, niedźwiedzie, lamparty, a ona sprzyja ich łączeniu się w pary.

Uwodzi pasterza, ukrywając swoją tożsamość, nie chce go onieśmielać. Przedstawia się jako córka frygijskiego króla. Anchizes nie zdaje sobie sprawy, z kim kładzie się do łóżka, przykrytego skórami własnoręcznie upolowanych lwów i niedźwiedzi.

Bogini pokaże mu się w swej prawdziwej postaci dopiero, gdy zbudzi go ze snu. Kochanek ze strachu zakrywa twarz, błaga, by nie odbierała mu męskości. „Będziesz miał syna”, mówi ona. I jeszcze: „Bacz teraz, pilnuj się, nie śmieję mnie nazwać, pamiętaj o gniewie bogów”.

Maria Wnęk

urodzona w 1922 r.

Rodzi się w Olszanicy nieopodal Starego Sącza. Przeżyje jako jedyna z ośmiorga rodzeństwa. Jako szesnastolatka składa śluby czystości. Codziennie bywa w kościele, pielgrzymuje do Kalwarii Zebrzydowskiej. Kiedy sąsiedzi widzą ją na drodze w białej sukience, wiedzą, że „Maria wyrusza ze wsi”.

Zaczyna pracować jako nastolatka. Zatrudnia się w kuchni polowej, na poczcie, w hotelu, w mleczarni, przy regulacji Dunajca. Ulega wypadkowi i przechodzi na rentę. Dorabia, sprzątając. W ten sposób w 1963 roku, jako czterdziestolatka, trafia do mieszkania Ewy Harsdorf. Ewa, starsza od Marii o 12 lat, jest malarką, współzałożycielką ZPAP w Nowym Sączu, kierowniczką amatorskiego zespołu plastycznego przy Domu Kultury Kolejarza i scenografką Teatru Robotniczego. Pod jej kierunkiem Maria zacznie się uczyć warsztatu i zyska uznanie kolekcjonerów i znawców sztuki.?

Maluje na papierze, tekturze, pilśni, czasem na sklejce, desce, płótnie. Na tym, co dostanie, kupi albo pozyska z bezużytecznych przedmiotów – toreb, siedzisk krzesel, wszystkiego, co nadaje się do zamalowania. Używa farb olejnych, temper, plakatówek, lakierów. Na plecach obrazów pisze „życiorysy” – komentarze, opisy inspirujących jej twórczość wydarzeń, przesłania od Boga i Matki Boskiej (uważa, że ma z nimi osobiste kontakty). Słowo i obraz są w jej sztuce równie ważne. Zaleca, by jej dzieła „Wsadzić między szyby, aby z jednej strony czytać, a z drugiej oglądać”. Uważa się za „malarzkę słynną po całym świecie”, tak właśnie często podpisuje obrazy.?

Po pożarze rodzinnego domu na początku lat 70. nie może sobie znaleźć miejsca. Pięć lat spędzi w mieszkaniu przy ulicy Żywieckiej w Nowym Sączu, dopóki nie zostanie z niego eksmitowana. Kolejne lokale rozczarowują ją – warunkami, sąsiedztwem, lokalizacją. Jest artystką i ma konkretne oczekiwania: pragnie dla siebie lokum blisko kościoła farnego, czteropokojowego mieszkania: z kuchnią, sypialnią, pokojem gościnnym, pracownią i poczekalnią dla odwiedzających ją osób. W oczekiwaniu na właściwą ofertę Maria całe dni spędza poza domem, z tobołem na plecach. Nocuje na dworcu, na ulicy, przy kościele. Ubezważona, na kilka lat trafi do szpitala. Nie przestaje tworzyć.?

Maria mówi, że malowanie obrazów ją rozwesela, „wszystko wtedy jest lepsze”.

Julia Woźny

urodzona w 1897 r.

Uwielbia czytać, jest ciekawa świata. Sama, a konieczności, kończy edukację na czterech klasach szkoły podstawowej, ale dzieci postanawia wykształcić. Troje spośród sześciorga rodzeństwa skończy wyższe uczelnie, kosztem wyrzeczeń całej rodziny. Julia jest przekonana, że warto.

Czyta wszystko, co jej wpadnie w ręce. Kiedy posyła synów do szkoły w mieście, studiuje ich podręczniki. Zdobytą wiedzę dzieli się z każdym napotkanym. Nie sposób jej minąć bez wysłuchania wykładu.

Jest zasadnicza w sprawach edukacji i wiary. Kiedy jej dwudziestosześcioletni syn, student medycyny, wpadnie do domu na święta, Julia nie pyta go, czy ma gdzie mieszkać i co jeść. Wypyta go, czy mówi pacierz i chodzi co niedzielę do kościoła.

Zostawi po sobie legendę o rodzinnej erze matriarchatu. I dwie chusty. Wełniana, noszona zimą, zamiast płaszcza, przez niemal pół wieku będzie przechowywana przez córkę Julii, Weronikę – niemal jak relikwia. Wnuczka Barbara przekaze ją Muzeum Etnograficznemu w Krakowie.

Maria Zachorowska

urodzona w 1947 r.

W rodzinnym domu w Jarocinie mówią o niej „kot, który chodzi własnymi drogami” – zawsze jest samodzielna, w działaniu i w myśleniu. Lubi wędrować, poznawać nowe miejsca i ludzi. Interesuje się historią, myśli o studiowaniu archeologii, ale ostatecznie wybierze studia etnologiczne, w Poznaniu. Pomysł podsunie jej siostra. Ta sama, za sprawą której Maria przeżyje swoją największą etnograficzną przygodę w Ameryce Południowej. Na razie Maria nawet sobie tego nie wyobraża.

Na studiach zafascynuje ją Afryka. Potem – Ameryka Łacińska, dzięki seminarium z prof. Marią Frankowską, badaczką Meksyku.?

W 1970 roku, tuż po studiach, Maria dostaje pracę w Muzeum Etnograficznym w Krakowie. Ówczesny szef działu kultur pozaeuropejskich, Janusz Kamocki, właśnie wybiera się do Indonezji. Cieszy się, że pod jego nieobecność ktoś zajmie się zbiorami. Nie wie jeszcze, że będzie współpracować z Marią przez kolejnych 17 lat. I że ta dziewczyna, jako jedyna w Muzeum, będzie miała odwagę przekładać rzeczy piętujące się na jego biurku – żeby odkurzyć. Maria, w odróżnieniu od swojego szefa, nie potrafi znieść nieporządku.?

Zespół, w którym zaczyna pracować, to w większości stara wiara, ludzie zatrudnieni w Muzeum w latach 50., niektórzy jeszcze przed wojną. Maria szybko zdobywa ich zaufanie. Cieszy ją praca w Muzeum: badanie zabytków, kwerendy, szkona, wystawy, publikacje. Czuje, że jest na swoim miejscu. Jej działką staną się zbiory pochodzące z Ameryki Środkowej i Południowej. Nie zrezygnuje z pracy z tą częścią kolekcji, gdy zostanie dyrektorką MEK – jedyną kobietą na tym stanowisku w historii Muzeum. Będzie pełnić tę funkcję aż do przejścia na emeryturę w 2008 roku.

Jednak zanim Maria na dobre zakotwiczy w Muzeum, zanim zacznie szefować w dziale pozaeuropejskim, a potem weźmie na siebie odpowiedzialność za całą instytucję... Zanim założy rodzinę, a zaraz potem zostanie wdową i zmierzy się z obowiązkami samotnej matki dwóch córek... Zanim wkręci się w dzierganie na drutach, zanim odkryje w sobie pasję badania rodzinnych historii... Zanim to wszystko się wydarzy, na początku lat 70. XX wieku Maria spędza dwa lata w Peru.

Leci do Limy na zaproszenie siostry. Mieszka i studiuje w stolicy, odwiedza muzea, ale przede wszystkim podróżuje, niemal po całym kraju. Wyrusza w teren w towarzystwie José Sabogała, profesora Universidad Nacional Agraria La Molina, który sekunduje jej w badaniach i zabiera ją w miejsca swoich podróży służbowych. Dzięki temu Maria dociera w różne zakątki niemal wszystkich regionów Peru. Trafia do niewielkich miejscowości, gdzie ma okazję przyglądać się, jak żyją Peruwiańczycy.

Z tych wypraw przywozi nie tylko wspomnienia, notatki, zdjęcia, ale też przedmioty kupowane z myślą o Muzeum na lokalnych targowiskach, tam, gdzie zaopatrują się miejscowi. Zwozi je do Limy w plecaku. Ostatecznie zgromadzi ich tyle, że zrezygnuje z biletu na samolot i wybierze się do Polski statkiem, na którego pokład łatwiej będzie zapakować walizki, tobołki i trzy skrzynie (w jednej z nich załęgną się mole, rozsmakowane w wełnie alpaki). Zmieni się zresztą nie tylko sposób, ale też termin powrotu Marii do Krakowa. Pobyt w Peru zamiast planowanego roku trwa dwa lata. W Muzeum zaczynają przebąkiwać, że Maria w ogóle nie zamierza wracać. Ale wraca. W 1973, na wiosnę. Kolejny raz wybierze się do Peru na miesiąc, 40 lat później. Ta pierwsza, młodzięcza wyprawa, pozostanie niezapomniana.

„Było niezwykle. Każda rzecz, która się tam wydarzyła, była ciekawa. Poza tym byłam sama. Nie miałam męża, nie miałam dzieci. To poczucie wolności i samodzielności, to było bardzo przyjemne”, wspomina Maria.?

ZYTA

urodzona około 1218 r.

Jej starsza siostra zostaje zakonnicą, brat – pustelnikiem. Jakiej przyszłości pragnie dla siebie Zyta?

Zaczyna życie w niewielkiej miejscowości Monsagrati, w Toskanii. Jednak już jako dwunastolatka przeprowadza się do oddalonej o kilkanaście kilometrów Lukki, by zacząć służbę w domu tkaczy o nazwisku Fatinelli. Zostanie tam, sumiennie pracując przez 42 lata, aż do śmierci.

Już za życia uważana jest za świętą. Cierpliwie znosi złe traktowanie tak długo, aż zjednuje sobie pracodawców i innych służących (po latach będzie zarządzać całym gospodarstwem, nigdy swoim). Codziennie chodzi do kościoła, często pości o chlebie i wodzie, odtrąca męskie zaloty. Znana jest z niezwyklej dobroci, pomaga ubogim. Nie dość tego – Zyta robi cuda. Kiedy rozda potrzebującym domowy zapas fasoli, gospodarze na tym nie ucierpią, nawet przybędzie im 50 kilogramów. Kiedy odłoży pracę na rzecz rozdawania jałmużny, anioły zajmą się jej obowiązkami w kuchni.

Jej skromne życie zakończy uroczysty pogrzeb w kościele św. Frediana. Do dziś można tam oglądać jej zmumifikowane zwłoki, ubrane w kosztowne tkaniny, przystrojone wieńcem sztucznych kwiatów.

W 1935 roku Pius XI ogłosi ją patronką służby domowej, ale to tylko formalność – uważana jest za nią od dawna. Już w 1898 roku właśnie jej imię przyjmie Stowarzyszenie Katolickiej Służby Żeńskiej w Krakowie, najliczniejsza organizacja służących w Polsce. Zytki oferują pośrednictwo pracy i porady prawne. Prowadzą schroniska dla chwilowo pozbawionych zatrudnienia (do dwóch tygodni), przytuliska dla „starych i niezdolnych do pracy”, ambulatoria, domy zdrowia dla chorych i potrzebujących wypoczynku, dostarczają bezpłatnych lekarstw. Przyuczają do gotowania, robót kobiecych, szycia, prania. Zobowiązują swoje członkinie do „szerzenia zdrowej pobożności i sumienności”, jednak stawiają nie tylko na rekolekcje, wspólne nabożeństwa, naukę katechizmu, ale też naukę czytania, pisania, rachowania oraz historii i geografii, umożliwiają korzystanie z biblioteki.

Dają też służącym regularnie wpłacającym składki ważną obietnicę: „Po śmierci członka Stowarzyszenie zajmuje się urządzeniem pogrzebu przy licznym udziale Zarządu i członków Stowarzyszenia”. Zytki to często samotne kobiety, które pracują w obcym mieście od świtu do zmierzchu, siedem dni w tygodniu i nie zdążą założyć rodziny. Wyobrażenie podążającego za trumną żałobnego orszaku daje im poczucie, że jednak są częścią wspólnoty i nie odejdą ze świata w zupełnym zapomnieniu.

„Niezbędnik” do wystawy POWERBANK / siła kobiet

pomysł: Dorota Majkowska-Szajer, Katarzyna Piszczkiewicz, Magdalena Zych

teksty: Dorota Majkowska-Szajer

redakcja i korekta: Ewa Ślusarczyk

udostępnienie treści: Utilitia